odgłosy
TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok VI
Łódź, 27. I. 63.
Nr 4 (256)
Cena 1 zł

JULIAN BRYSZ

KRZYSZTOF POGORZELEC

W ŚRODKU POLSKI

JAKA BĘDZIE ŁODZ ZA LAT 20? CZY HASŁO „BEŁCHATÓW" OZNACZA TYLKO WĘGIEL I ENERGIĘ ELEKTRYCZNĄ? JESZCZE INNE PROBLEMY: — ILU NAS BĘDZIE? ILE WODY POTRZEBUJE ZIEMIA ŁODZKA, BY NAPOIĆ SPRAGNIONYCH — LUDZI, PRZEMYSŁ, ROLNICTWO.

To tylko niektóre z pytań postawionych na Sesji Naukowej, którą niedawno zorganizował Łódzki Oddział Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Pytania postawiono z okazji problemu: rozwój Łodzi i województwa w ciągu przyszłych 20 lat. A odpowiedzi?

ŁÓDŹ NA WŁÓKNIE STOI?

Ano właśnie, tak się zwykło mawiać. Następne 20-lecie przyniesie jednak olbrzymie zmiany. Założona w planie perspektywicznym modernizacja przemysłu włókienniczego spowoduje zmniejszenie zatrudnienia tej gałęzi przemysłu o 30 proc. i stworzy to możliwości prowadzenia procesu zmian w strukturze przemysłu łódzkiego. Będą one szły na rzecz ograniczenia udziału „włókna", a zwiększenia udziału w życiu miasta takich przemysłów jak maszynowy, metalowy, elektrotechniczny i chemiczny. Warto tutaj przytoczyć pewne wskaźniki charakteryzujące owe przemiany zaplanowane przez ekonomistów. I tak jeżeli w roku 1960 aż 58,1 proc. ogółu pracujących w łódzkim przemyśle zatrudnionych było w zakładach włókienniczych, to ten sam wskaźnik za lat 20 będzie się kształtował na poziomie 36,9 proc. Natomiast o ile

Dokończenie na str. 6

Fot: W. BILIŃSKI

FELIKS BĄBOL

I cóż dalej młody człowieku?

zmienia się. Wypadałoby więc młodych ludzi przygotować do tych zmian, inaczej żyć będą życiem oderwanym od rzeczywistości, a to na dłuższą metę mogłoby rodzić nie tylko osobiste, ale i społeczne dramaty.

WYMOWA CZASU

Łódź zmienia się najpierw dlatego, że nie może pozostawać w nieskończoność w swym tradycyjnym profilu „polskiego Manchesteru", a poza tym — wraz z całym krajem musi rozwijać to co najważniejsze — postęp techniczny we wszystkich dziedzinach wytwarzania. Niesie więc zmiany i nowa technika, żądająca coraz to większej liczby ludzi obznajmionych z nowymi maszynami, procesami technologicznymi i coraz bardziej urozmaicona struktura przemysłowa miasta. Dlatego też już dziś powinniśmy odłożyć do lamusa stary schemat kreślenia przyszłości młodego człowieka: albo na wyższe studia albo do roboty, bo jeśli chodzi o studia, to nie wiadomo, czy każdy chętny znajdzie miejsce na wyższej uczelni w Łodzi, co zaś tyczy się ewentualności „do roboty"... — to dziś należy już wyraźnie określić „do jakiej". Przecież w najbliższym czasie „robota", „praca" jako abstrakcje i w Łodzi stracą zupełnie swe prawo obywatelstwa na rzecz konkretnych kwalifikacji i ściśle określonej specjalności. Taką prawdę niesie czas, a wszyscy młodzi ludzie, jakże często chełpiący się znajomością najnowszego nurtu naszego życia, właśnie tę prawdę jak najrychlej powinni sobie wziąć do serca.

Wymowa czasu jest następująca:

Łódź nie musi co prawda na razie przejmować się ogólnopolskim wskaźnikiem: na każdych 10 kandydatów do liceum ogólnokształcącego, 38 kandydatów do szkół zawodowych, bo w tych szkołach zawodowych jest wiele szkół przysposobienia rolniczego zaspokajających potrzeby naszej wsi, ale przecież wskaźnik: 10 licealistów na 23 uczniów szkół zawodowych obowiązuje już dziś w naszym mieście, z tym wszakże, że w 1965 roku na 10 kończących szkoły podstawowe i mających aspiracje licealne aż 25 uczniów będzie musiało pójść do szkoły zawodowej.

Czy wszyscy absolwenci szkół zawodowych znajdą po nauce pracę w łódzkim przemyśle. Odpowiedzią zajmiemy się w odpowiednim czasie, na razie spróbujmy ocenić sytuację młodzieży, która mimo wszystko zechce po 7 klasach pójść do liceów ogólnokształcących. Okaże się przede wszystkim, że sytuacja jej nie wygląda zbyt różowo. Co prawda w 1960 roku na 1.100 absolwentów liceów było na łódzkich uczelniach wyższych 2040 miejsc, ale nie zapominajmy, że miejsca te w... 70 procentach zajęte zostały przez młodzież spoza Łodzi z ośrodków nie posiadających szkół wyższych, inną część miejsc zajęli absolwenci średnich szkół zawodowych specjalizujący się w kierunkach technicznych.

I w 1965 roku sytuacja młodzieży kończącej licea ogólnokształcące w Łodzi i wybierającej się na wyższe studia nie będzie lepsza. Co prawda ilość miejsc na uczelniach zwiększy się do 2400, ale z drugiej strony dojdzie do głosu wyż demograficzny, który sprawi, że tych absolwentów czekających na swoje miejsce na uczelni będzie już ... 3800.

Jak mówią demografowie dopiero w 1972 roku nastąpi w Łodzi równowaga między ilością miejsc na uczelniach i ilością absolwentów-licealistów. Przy stosunku jednak 1:1 w dalszym ciągu napływ młodzieży pozałódzkiej pogarszał będzie sytuację łodzian. Warto o tym

Dalszy ciąg na str. 5

JAN BĄBIŃSKI

ODKRYWANIE OJCZYZNY czyli pochwała UCZCIWOŚCI

Białe plamy na ziemskim globie, gdzie szperać za nimi? Nad Amazonką, w dżunglach Nowej Gwinei, czy na śnieżnej pustyni Antarktydy? Młodzieńcze ambitny, który śnisz o lauru gałązkach, nie szukaj daleko — białe plamy odkryjesz pod Łodzią. Nie wierzysz? Mam na to świadków, 200 geodetów potwierdzi, że to prawda, choć nieco żenująca.

Geodetów obarczono zadaniem tyleż delikatnym, co pilnym. Mieli do załatwienia jedną z tych spraw, które tak długo wypływają, aż nie dadzą się dłużej przetrzymywać na bocznym torze. Każde z zebrań wiejskich, bez względu na to czy je zaszczycił swą obecnością poseł, sekretarz bądź prezes, każde z nich miało ten sam epilog. W pewnej chwili podnosił się z ławy jakiś chłop i grzmiał na całą salę:

— A poza tym uważamy, że pora sklasyfikować gleby tak, jak się należy...

To mówiąc, siadał, a ściany mało nie pękały od braw. „Klasyfikację ziemi

Dalszy ciąg na str. 2

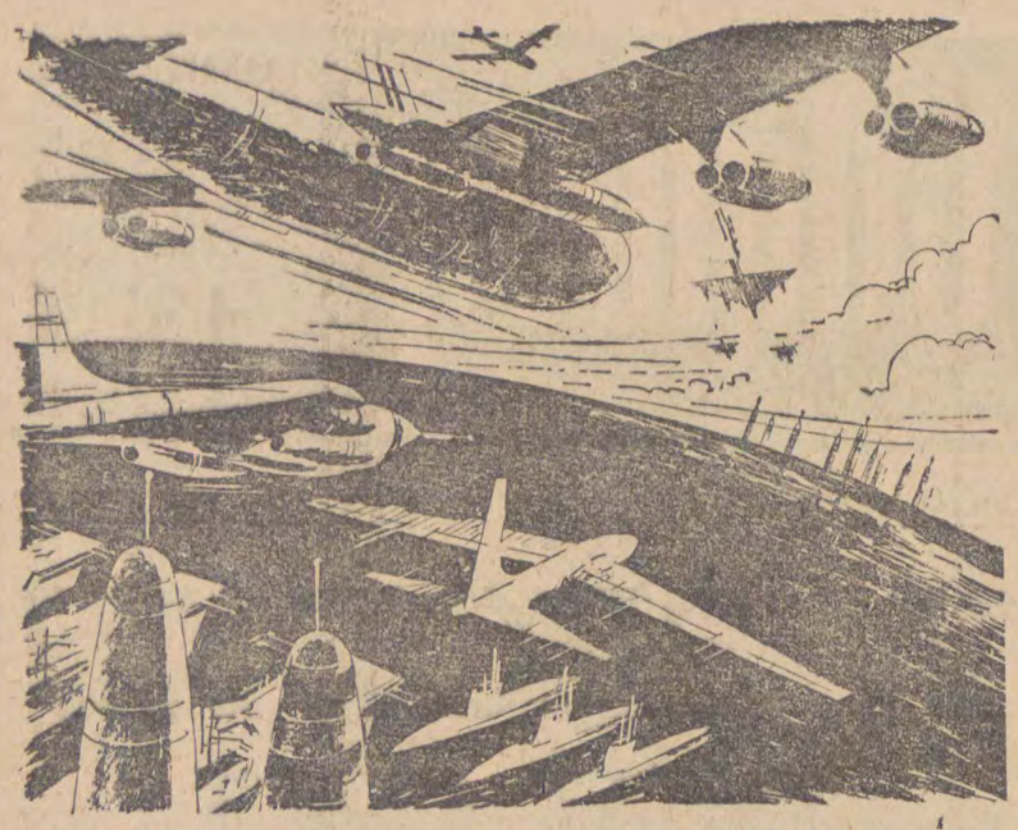

WACŁAW BILIŃSKI

„Fail-Safe"???

Poczytny tygodnik amerykański „Time", od lat prowadzi stałą rubrykę bestsellerów książkowych, śledząc na podstawie danych statystycznych rynkowe powodzenie nowych powieści. Z tej to rubryki „Time" możemy co tydzień dowiedzieć się, jaka książka stanowi aktualną sensację Nowego Jorku i całych Stanów. Na przełomie grudnia i stycznia taką „bombą" wydawniczą stała się powieść Burdicka i Wheelera p. t. „Fail — Safe". W pierwszych dniach sprzedaży miała ona na liście bestsellerów „Time'u" już trzecią lokatę, by natychmiast nabrać takiego rozgłosu, iż w następnym tygodniu zdystansowała wszystko, co aktualnie czeka na czytelnika w nowojorskich księgarniach. I odtąd drukarnie nie nadążają z nowymi wydaniami.

Nim spróbujemy przełożyć tytuł tej powieści — bestsellera, poszukajmy w aktualnej prasie amerykańskiej koniecznych wyjaśnień. Z tego źródła dowiemy się, że jest to powieść co prawda bez ambicji artystycznych, z wyraźnymi jednak ambicjami politycznymi. Duet autorski przed napisaniem tej książki musiał przestudiować niewiarogodną wprost ilość materiałów źródłowych, takich jak raporty komisji obrony Kongresu Stanów Zjednoczonych, roczniki pism fachowych z zakresu strategii atomowej, wszystkie osiągalne publikacje dotyczące broni jądrowej. I dopiero w oparciu o ten olbrzymi materiał autorzy zabrali głos w sprawie bezpieczeństwa ludzkości. Ich powieść na pewno w jakimś stopniu już spełniła swoją rolę: poruszyła opinię publiczną Stanów i raz jeszcze uprzytomniła niebezpieczeństwo, na które przeciętny Amerykanin woli przymykać oczy. I kto wie, czy psychologiczne oddziaływanie tej książki nie będzie wyczuwalne nawet w sali obrad wznowionej konferencji rozbrojeniowej.

A inna sprawa, że wypowiedź Eugene Burdicka i Hervey Wheelera zabrzmiała w tonacji arcyamerykańskiej. Ich powieść to coś w rodzaju politycznego science-fiction, to jakby skrzyżowanie powieści fantastycznej z dramatyczną, antyatomową publicystyką.

Jej akcja, sprawiająca, że czytelnikowi robi się „zimno ze strachu" (cytat z recenzji New York Times) jest próbą obrazowego ukazania skutków jednej tylko drobnej pomyłki i jednego małego defektu w gigantycznym systemie obrony i kontrataku atomowego, w systemie, który jest dziś podstawą — według określenia prezydenta Kennedy'ego — światowej równowagi sił, gwarantującej jakoby bezpieczeństwo ludzkości.

A oto treść „Fail — Safe" w największym skrócie. Na ekranach radarowych w kwaterze głównej lotnictwa USA ukazują się podejrzane cele. Ich kurs — Nowy Jork. Napięcie nerwowe zimnej wojny sprawia, że natychmiast zaczyna funkcjonować amerykański system obrony i kontrataku. Startują atomowe bombowce, gotują się do akcji wyrzutnie termojądrowe. Właśnie ten system nosi kryptonimową nazwę „Fail — Safe". Skrót oznacza, iż nawet na wypadek jakiejś pomyłki, czy defektu urządzeń alarmowych, system gwarantuje pełne bezpieczeństwo.

Ale oto już na następnych stronicach powieści autorzy demaskują iluzoryczność takich złudzeń. Każdy system może mieć lukę, jakąś niedokładność. Tym razem wchodzą w grę względy subiektywne, stan psychiczny załogi jednej z eskadr, właściwości systemu nerwowego jej dowódcy.

W sztabie już spostrzeżono, że alarm radarowy był wywołany uszkodzeniem aparatury. Załogi eskadr rzuconych do kontrataku zostają więc odwołane, wszystko dzieje się w przepisowym czasie, jeszcze przed osiągnięciem pozycji wyjściowej do ataku. I wszystkie eskadry temu rozkazowi się podporządkowują, wszystkie prócz jednej. Ta, z przyczyn, których nikt w sztabach nie rozumie, kontynuuje kontratak. Już zbliża się do terytorium Związku Radzieckiego, a szefowie sztabu i sam prezydent Stanów Zjednoczonych na próżno drogą radiową wydają rozkazy powrotu.

Tak oto powstaje sytuacja, w której można zrobić już tylko jedno — i prezydent USA — (autorzy nie wymieniają jego nazwiska, ale czytelnik bez trudu domyśla się, że chodzi tu o Kennedy'ego) — alarmuje drogą radiową głowę państwa radzieckiego, podaje mu położenie własnych bombowców i radzi jak je zestrzelić. Mimo to na Moskwę padają cztery pociski termojądrowe i pod grzybami atomowymi giną miliony ludzi.

A więc nieuchronny wybuch powszechnej wojny jądrowej? By temu zapobiec „powieściowy" prezydent USA chwyta się desperackiego środka. W bezpośredniej rozmowie z kierownikiem zaatakowanego tak bez powodu państwa, proponuje mu straszliwą rekompensatę, i w chwilę później wydaje rozkaz, by jeden z amerykańskich bombowców krążących nad Nowym Jorkiem zrzucił na to miasto — na miasto rodzinne, którego przecież miał bronić — cztery pociski atomowe. Ma to stanowić ekspiację niejako czy też zadośćuczynienie. I w powieści Burdicka i Wheelera taką cenę zapłaci ludzkość za czyjąś drobną pomyłkę, za jeden nieprzewidziany błąd.

Rozwiązanie fabularne powieści „Fail-Safe" jest sprawą gustu amerykańskich pisarzy i czytelników. Lecz w ostatecznym obrachunku nie to chyba jest ważne. Natomiast faktem jest, że makabryczny obraz zawarty w tej powieści przeraził i zaalarmował społeczeństwo i prasę amerykańską. Liczne pisma przedrukowują powieść w całości lub skrótach. Na jej temat wypowiadają się specjaliści i wojskowi i cywilni. Jeśli ci pierwsi — jak to zwykle bywa z generałami — chcą zbyć wszystko wzruszeniem ramion, autorytety naukowe orzekają zgodnie — cytujemy „iż wybuch wojny przez pomyłkę czy na skutek przeoczenia staje się coraz bardziej prawdopodobny, w miarę jak wzrasta i komplikuje się system obrony i jego gigantyczny aparat ludzki i techniczny".

W trakcie dyskusji ujawniono i nieznane dotąd fakty:

I tak, 22 listopada 1960 roku radary amerykańskie rzeczywiście sygnalizowały atak rakietowy na USA. Potem okazało się, że były to uchwycone na ekranach odbicia tzw. radarrefleksy — od księżyca.

24 listopada 1961 r. radary kwatery głównej lotnictwa USA zasygnalizowały nagłe zniszczenie przez wybuch stacji radarowych w Grenlandii. I tym razem okazało się, że alarm był fałszywy i wywołała go burza magnetyczna.

W tej fazie dyskusji, wobec niezaprzeczalnych faktów potwierdzających tezę autorów o możliwości wybuchu wojny przez pomyłkę, musiał zabrać głos sam Pentagon. Jego rzecznik zapewnił, że jakieś nowe zarządzenia ostatecznie usprawnią system Fail-Safe. Część ich została nawet podana do wiadomości publicznej. A więc któraś tam z kolei weryfikacja załóg bombowców nuklearnych w zakresie zdrowia psychicznego. A więc dalsze usprawnienie systemu łączności i kontroli. A więc badanie stosunków rodzinnych, finansowych, stanu moralnego, ba, nawet zainteresowań osób mających bezpośrednią styczność z bronią jądrową. Cały system męczącej chyba delikwentów inwigilacji.

Lecz przecież nie o to chodzi! Tym razem zrozumiał to nawet przeciętny amerykański zjadacz chleba mimo wyraźnych prób wprowadzenia go w błąd. A że na całym świecie ludzie mają już dość życia w strachu atomowym, trzeba się więc liczyć z wzrastającym naciskiem opinii publicznej w jedynie rozsądnym kierunku: ku rozbrojeniu atomowemu. — I to akurat obecnie, w przededniu wznowienia obrad konferencji rozbrojeniowej.

Niezależnie od takich czy innych sądów na temat książki Burdicka i Wheelera, wydaje się, że jej autorzy mają w tym pewien swój udział.

ODKRYWANIE OJCZYZNY

Dalszy ciąg ze str. 1

nam zróbcie" — leciał bojowy okrzyk przez wsie. Puszczono w ruch także inne formy masowego nacisku. Rolnicy słali do władz tysiące listów, wszystkie wołały o sprawiedliwą ocenę gruntów. Pewien wieśniak z Brudzic tak pisał do samego ministra, nie kryjąc ironii splecionej z drwiną:

— „Jak to się dzieje, że on (tu następowało nazwisko) ma 3 morgi ziemi, a trzyma na niej 2 konie, 4 owce i 4 wypasione krowy, które się doją, że daleko szukać. Cudotwórca jakiś, czy jak? Może by do niego profesorów dosłać, żeby się nauczyli gospodarki?".

Chłop wiedział co pisał. Jeszcze się taki nie urodził, by na 3 morgach zdołał wyżywić cały zwierzyniec. Cudów przecież nie ma, Brudzice to nie Kana Galilejska. Chłop czynił — po prostu — w liście przejrzystą aluzję do klasyfikacyjnego bałaganu.

Nie on jeden, zresztą, wszędzie domagano się uczciwej wyceny gruntów, bo pierwsza klasyfikacja z 1949 roku nie utrwaliła się na wsi we wdzięcznej pamięci. Kilkanaście lat temu chodziły po wsiach społeczne komisje. Miały gotowe rozdzielniki w teczkach. Dla pozoru sołtys brał glebę w garść, przepuszczał przez palce, badał czy „maślista", lecz ukradkiem zerkał na zabudowania. Jeżeli komisja zauważyła, że budynki gospodarcze ładne, wówczas klasa ziemi była odpowiednio podwyższana. Nie pomagały prośby ani groźby, komisja miała plan do wykonania. Na wyższym szczeblu wiedziano lepiej, ile jakiej ziemi jest w gminie. Przecież starczy zajrzeć do teczki, rozdzielnik dawał ścisłą odpowiedź. Komisja miała tylko wypełnić rubryki w formularzu, tak aby liczby nie odbiegały od zawczasu ustalonej sumy użytków rolnych w każdej klasie.

Kto lis i miał chody, ten się wywinął. Ominął komisyjne wyniki i po dziś dzień ciągnie dywidendy z dawnego sprytu i kumoterskich koligacji. Teraz słodkie życie się urywa, „dobre" czasy mijają. Ministerstwo dało sygnał, województwo podniosło strzeżony dotąd szlaban i w teren ruszyło z Łodzi 200 geodetów, nie z rozdzielnikiem w aktówce, lecz z taśmą mierniczą. Jeden z nich zatknął chorągiewkę pod Wolborzem. Czy przypuszczał, że czeka nań wawrzyn odkrywcy?

Geodeta stanął pośrodku kartofliska i czekał. A tu ani żywego ducha. Mierniczy zbliżył się tedy do stojącej przy gościńcu chałupy. Pusta. W którąkolwiek stronę zwracał swe kroki, wszędzie napotykał skoble i zasuwy. Cóż u licha, ludzie na odpust pojechali? Skądże, skoro tylko geodeta odwrócił wzrok, już zza domic w oknach strzelały ciekawe oczy. Panie geodeto, nic tu po panu, Wolbórz nie prosił o klasyfikację.

Geodeta nie miał łatwego chleba, nikt mu w Wolborzu wsparcia nie użyczył. Ludzie nabrali wody w usta, za nic nie chcieli ujawnić, gdzie leżą czyje pola.

Ale mierniczy się nie ugiął, obszedł zagajniki, zarośla, ugory, odmierzył każdy metr ziemi. Żyła nie człowiek. Zrobił szkic i dopiero wtedy pchnął do Łodzi meldunek, który wywołał zdumienie.

Co się stało?

Pod Wolborzem odkryto nieznany ląd, dokładniej dziewiczą wysepkę o powierzchni 400 hektarów. Ta ziemia nie figurowała w żadnym spisie, dokumenty o niej milczały, mapki również.

Jak mogło dojść do tego?

Wolborski starowina po długim namyśle jął odkopywać z pamięci strzępy wspomnień z lat młodości:

— Żył tu magnat, bardzo pański pan, taki dumny, że się nie zbliż. Uwłaszczył chłopów jak było nakazane, ale jak doszło do serwitutów, to aż mu się ze łba kurzyło, taki był wściekły. Wezwał chłopów przed swoje oblicze i tak im powiedział. — „Daję wam ogromne pastwisko, ale musicie się zrzeknąć prawa do wypasu, do łowienia ryb, do zbierania chrustu w moich lasach". Tak powiedział, a chłopi na to przystali, co mieli robić?

Z przykazania dworu zrodziła się przeto wspólnota, należąca według tradycji do wszystkich, w praktyce do nikogo. Na tle zielonej wspaniałości przyrody to pastwisko do dnia dzisiejszego jest białą plamą. Od gęsi białą, bo tylko gęsi swym długim dziobem mogą tu coś wyskubać dla siebie.

Inny geodeta zabłądził do Brudzic koło Radomska. Krążył, myszkował, nie spoczął, póki nie odchylił zasłonę tajemnicy owego rolnika, który cudownym sposobem rozmnażał ziarno na sąsieku. Mierniczy wdepnął na 600 hektarową przestrzeń bujnego zboża, pysznej lucerny, buraków. Próżno by szukać tej ziemi na mapach, śladu po niej nie znajdziesz. Ludziska tylko wzruszali ramionami — „moja chata z kraju, niczewo nie znaju... Proszę wybaczyć, ale my ludzie niegramotni. Dziad tam siał to i my siejemy, ale skąd nam te grunty spadły, tego już sam czart nie dojdzie".

Ponoć dawnymi czasy chłopi odkupili morgi od folwarku, ale papierzyska gdzieś się zawieruszyły. Widocznie razem z nimi ziemia także wyparowała z rejestrów w gminie. Nic wielkiego, po cóż zaraz trąbić, ile naprawdę ma kto ziemi pod pługiem?

Oj ci geodeci! Jeśli ktoś jest na bakier z obywatelskim sumieniem, niech już lepiej nie krzyżuje z nimi swej drogi. Nic dobrego nie wychodzi z takiego spotkania. Jeśli zaś geodeta chce koniecznie przykładać taśmę do zagonów, to trzeba mu jakoś obrzydzić życie. Tak obrzydzić, żeby zwrócił się o azyl w... sąsiedniej gromadzie. Geodeta pyta o kwatery i o to, ile będzie kosztować dzienne wyżywienie. „To trudna sprawa, urodzaj był kiepski latosiego roku, izby też mocno się przez ten czas zagęściły. Nie dobrze panie bobrze, ale jak pan geodeta wyłoży 60 złotych za każdy dzień, to pogadamy"....

Tak pieją gospodarze o niezbyt czystym sumieniu i mierzą mierniczego spode łba. Wiemy, wiemy braciszku, że cienko przędziesz i nadrabiasz miną. Dostajesz 18 złotych diety. No i jak dasz sobie u nas radę? Słychać, że i w twoim zawodzie trafiają się artyści, którzy przez miesiąc wyciągają 4 tysiące złotych na czysto. Szczęść Boże, możeś taki sam? W takim razie przyjdzie ci na to, że będziesz się zrywał skoro świt i z chłopem poleziesz każdego dnia do roboty w polu. Wyjdziesz na swoje, pewnie, ale się nabiegasz i naharujesz za wszystkie czasy. Odechce ci się świątecznego ciasta. Nie lubimy jak ktoś zagląda przez plot na nasze podwórko.

Rolnicy z Ogroblów mało ze skóry nie wyskoczyli, by nakłonić geodetę do zmiany trasy. Nic z tego, trud próżny. Geodeta wykrył 400 hektarów ziemi, do której rzecz ciekawa, nikt się nie chciał przyznać. Bezpańskie ugorzysko, na którym żaden jeszcze kartograf nie zawiesił swego oka.

Ideał niejednego chłopa był zawsze jednaki. Mieć ziemi jak najwięcej, mieć jej w rejestrach jak najmniej. Bo rejestr trąci urzędem, więc podatkiem.

Ten ideał, na różnych drogach osiągnięty przez wielu, teraz się wali.

Nowa klasyfikacja nie zawsze idzie po myśli każdego rolnika. Podział użytków rolnych na jedną z 6 obowiązujących klas, mógł być tylko następstwem geodezyjnych pomiarów, nie ich skutkiem. Przed geoboznawcą ruszył w teren mierniczy i na swój sposób wymierzył sprawiedliwość.

Geodeci, błądząc po bezludnych pustkowiach **spenetrowali 824 tysiące hektarów ziemi.** Na swym ekspedycyjnym szlaku zakrojonym na lat kilka, minęli już półmetek. A co ma kraj z tego?... Geodeci odkryli w województwie nieznane lądy o łącznej **powierzchni 70 tysięcy hektarów.** To nie sennik egipski ani przypowieści królowej Saby, to gołe fakty, warto je znać. Można już dziś snuć domysły, iż na mocy prawa wielkich liczb, obszar nowo odkrytej ziemi zwiększy się w toku dalszych wypraw do 100 tysięcy hektarów. Jeśli geodeci w reszcie dzielnic kraju będą z równą odwagą i zajadłością wdzierać się w głąb nieznanych terenów, wówczas nasza ojczyzna i tak zadziwiająca świat od wieków, powiększy się, być może, o całe, nowe województwo.

Panie Balcer, gdzie pana poniosło? Polscy chłopi, że też was musiało zawiać nad Amazonkę. Po kiego licha? Cudze chwalicie, swego nie znacie. Mało to dziewiczej ziemi pod Łodzią?

Z wiosną ruszy nowa, 200 osobowa, ekipa geodetów. Tam znajdą skrawek ziemi, ówdzie piędź, gdzie indziej morgę ba, całą wielohektarową oazę. W tym odkrywaniu ojczystej ziemi będzie coś głęboko swojskiego...

JAN BĄBIŃSKI

MARIA KORNATOWSKA

Nowe sprawy sztuki filmowej

NAJNOWSZE TENDENCJE EKRANOWYCH ROMANSÓW

W DALSZYM CIĄGU KONTYNUUJEMY DRUK INTERESUJĄCYCH ARTYKUŁÓW ZWIĄZANYCH Z NOWYMI SPRAWAMI SZTUKI FILMOWEJ, SĄ TO SPRAWY ZAUWAŻONE I SKOMENTOWANE PRZEZ ZESPÓŁ NAUKOWCÓW ZAKŁADU WIEDZY O FILMIE UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO.

REDAKCJA

Niestety zmuszona jestem zawieść oczekiwania Miłych Czytelników. Nie o romansach, w potocznym znaczeniu tego słowa, będzie tu mowa. Ale o romansach w tym sensie jaki przypisywali temu określeniu nasi dziadkowie. W dawnych pięknych czasach, wzorem Francuzów i u nas nazywano powieści romansami. Nie bez kozery zresztą. Albowiem jak świat światem nie było romansów bez romansów, tych właściwych. Bo inaczej, kto czytałby powieści? W dzisiejszych czasach funkcję powieści w coraz większej mierze przejmuje film. I dlatego pozwoliłam sobie ochrzcić film fabularny — mianem ekranowego romansu. Tym bardziej że film fabularny jako rodzaj filmowy ukształtował się na wzorach formalnych i treściowych XIX-wiecznej powieści, powieści naszych dziadków. Duch Dickensa patronował narodzinom filmu. Ale na ogół nie wielka proza stulecia stała się pożywką kina. Raczej ta drugorzędna.

Film przejął wizję świata zamkniętą w XIX-wiecznej powieści, konstrukcję bohaterów i ich losów, motywy treściowe i typy konfliktów (np. motyw szlachetnej kurtyzany, sposób ujęcia konfliktu jednostka-gromada, itd.), jednoznaczny system wartości i ocen moralnych i wreszcie całą strukturę dramaturgiczno-kompozycyjną oraz metody narracji. To dostojne dziedzictwo określiło nawet gatunkowe zróżnicowanie filmu. I tak klasyczny melodramat filmowy, to nieodrodne dziecię literatury spod znaku Dumasa-syna. Czy „Pożegnalny walc" nie przypomina jak dwie krople wody „Damy Kameliowej?" A film historyczny, czy nie pozostał wierny regułom gry Dumasa-ojca? Cóż bowiem zostało z tołstojowskiej historiozofii w ekranowej wersji „Wojny i pokoju"? A tymczasem literatura poszła dalej, wyciągając wnioski z nowych systemów filozoficznych, odkryć naukowych, tworząc nowy obraz. Na ten przedziwny paradoks zwrócił uwagę znakomity krytyk francuski Andre Bazin. Na rozbieżność między nowoczesną, par excellence naturą sztuki filmowej, a jej tradycyjną zawartością i kształtem.

Ów model filmu fabularnego, ukształtowany w pełni gdzieś koło roku 1935 przetrwał z niewielkimi zmianami do czasów ostatnich dominując w masowej produkcji. Pierwszy poważny cios zadał mu włoski neorealizm.

Nowe tendencje sztuki filmowej rysują się od dość już dawna. Wyraźny przełom widoczny jest jednak gdzieś koło roku 1955. Co na to wpłynęło? Zapewne wiele i to różnorodnej natury czynników. Pozwolę sobie wymienić dwa z nich, bardzo, jak się zdaje istotne. Przede wszystkim więc konkurencja telewizji, która okazała się znakomitym bodźcem dla rozwoju sztuki filmowej. Konkurując z telewizją, film z jednej strony zaczął w bardzo gwałtowny sposób doskonalić swą technikę (nowe formaty, stereofonia, cinerama, itd), z drugiej zaś zaczął doskonalić swój kształt artystyczny. W ten sposób w łonie filmu fabularnego powstały dwie skrajnie przeciwstawne tendencje: obliczone na zdobycie masowego widza wielkie widowisko, „bigshow" angażujące potężny aparat najnowszej techniki i — adresowany do widzów bardziej wybrednych, do smakoszy, „nowy film" (według najmodniejszego obecnie określenia krytyki). „Bigshow" w istocie swojej nie odbiega od tradycyjnych schematów treściowych i formalnych. Patronuje mu nadal duch Dumasa i Biblii. Zawsze mamy prawo wyboru między dziejami „Serca i szpady" a „Dziesięciorgiem przykazań".

Inaczej rzecz się ma z „nowym filmem". Nie bez wpływu pozostał tu fakt (i to jest ów drugi istotny czynnik, o którym wspomniałam) wkroczenie w szranki filmowe nowego typu realistów, krytyków, intelektualistów, pisarzy. Dla ludzi tych film jest w pierwszym rzędzie środkiem wyrażania siebie, swego widzenia świata i ludzi. Ekranowy romans zmienił oblicze i źródła inspiracji. Te ostatnie, jak nietrudno się domyślić, znalazł w prozie współczesnej. Tu rzecz znamienna, o ile cała tzw. nowoczesna sztuka jest właściwie programowo ahumanistyczna, film pozostał nadal „opoką" humanizmu. Główny obiekt zainteresowań nowego kina — to właśnie człowiek, człowiek dzisiejszy. Wydaje się, że jedna z najistotniejszych cech, wyróżniających nowy film, polega właściwie na zupełnie nowym, w zestawieniu z filmem tradycyjnym, sposobie ujęcia bohatera i konstrukcji jego losów.

Znakomite tego przykłady znajdziemy w wybitnych dziełach ostatnich lat, w „Hiroszimie, mojej miłości", „Przygodzie", „Zaćmieniu", w najnowszym polskim filmie „Jak być kochaną" Hasa. Novum tego ujęcia tkwi przede wszystkim w zerwaniu z jednoznacznością moralną postaci, z czarno-białym systemem wartości i ocen oraz z zasadą prawdopodobieństwa psychologicznego rozumianego jako prawdopodobieństwo typu logicznego. I tak Resnais w filmie „Hiroszima, moja miłość" próbuje dokonać swego rodzaju wiwisekcji psychiki ludzkiej. Dialektyczny konflikt pamięci i zapomnienia, intelektu i emocji, rozsądku i namiętności oddany został dzięki świetnemu montażowi i kontrapunktowi słowo — obraz. Resnais uchwycił owo nieustanne nakładanie się czasów w świadomości człowieka, współistnienie zjawisk, które były i które są. Fascynuje go sposób myślenia i reagowania bohaterki na zjawisko świata zewnętrznego. Chce pokazać człowieka od wewnątrz, chce ujawnić strukturę ludzkiego mikrokosmosu, chce świat zewnętrzny określić miarą zwykłej, ludzkiej jednostki podniesionej do rangi absolutu. Jeszcze dalej w tym kierunku idzie jego następny film „Zeszłego roku w Marienbadzie", gdzie rzeczywistość zostaje całkowicie sprowadzona do psychicznych układów jednostki, gdzie nieustannie nakładają się na siebie trzy plasz czyzny czasowe, gdzie to co realne miesza się z tym co pomyślane.

Warto też zwrócić uwagę na fakt, iż bohaterka „Hiroszimy" wymyka się zupełnie jakiemuś utartemu systemowi jednoznacznych ocen moralnych. Przyciąga i odpycha widza (w tradycyjnym filmie reakcja emocjonalna widza jest zawsze jednokierunkowa).

O ile Resnais, jak już wspominałam, próbuje dać wiwisekcję jednostkowej świadomości, o tyle Antonioniego pasjonuje przede wszystkim analiza stosunków międzyludzkich. Bohaterowie Antonioniego są samotni i zarazem całkowicie zdani na łaskę i niełaskę innych. Stąd zresztą wyraźne różnice, chociażby w prowadzeniu narracji. Resnais operuje ostrym, rwanym montażem i planami zbliżonymi, koncentrującymi uwagę widza przede wszystkim na bohaterce, Antonioni daje ujęcia długie, wtapia swoje postaci w przestrzeń, podkreślając jednocześnie (przez odpowiednią kompozycję i oświetlenie) ich wyobcowanie i samotność.

W obu tych przypadkach film odrzuca epickie uproszczenie budowy postaci, odrzuca środki tradycyjnego kina, jednoznaczne określanie bohatera przez sytuację, dialogi i grę aktora. Bohater, człowiek staje przed nami w całej swej złożoności, wieloznaczności i wielowymiarowości. Kamera już nie pokazuje, ale stwarza, pisze świat, kamera-stylo, kamera-pióro. Sądzę, iż właśnie ta tendencja zmierzająca do nowego (na terenie filmu) ujmowania istoty i losu człowieka jest chyba jakąś sprawą najciekawszą we współczesnym filmie. Rozbicie tradycyjnych schematów dramaturgicznych i narracyjnych, wprowadzenie (wzorem literatury) czasu subiektywnego, czasu psychicznego jest już rzeczą wtórną, logiczną konsekwencją innego sposobu patrzenia i widzenia. Liczni już w tej chwili reprezentanci tej tendencji (Resnais, Antonioni, Varda, Godard, Tarkowski, a u nas Konwicki i Has) usiłują poprzez obserwację i analizę jednostki lub też grupy ludzi stworzyć pewną syntezę, dać obraz czasów w których przyszło nam żyć. Nieprzypadkowo są to właściwie filmy-monologi. Właśnie ta forma wydaje się być najwłaściwszą, najbardziej elastyczna i „pakowna".

Interesującą pozycję we współczesnym filmie zajmuje Fellini. Jego ostatnie dzieła („Słodkie życie", „Labirynt") stanowią jak gdyby syntezę, dialektyczną jedność filmu — monologu i filmu typu „bigshow". Są to wielkie epickie freski, wielkie widowiska, ale zorganizowane na zupełnie innej zasadzie, na zasadzie lirycznego poematu. Głównym bohaterem jest sam twórca. Film jest jego osobistym, bezpośrednim monologiem. Konstrukcja filmu określa reżysera, nie postacie. Fellini to wielki poeta, liryk ekranu. Subiektywizm jego filmów graniczy czasem z ekshibicjonizmem. Ale z drugiej strony daje on jakiś potężny, fascynujący obraz epoki. A więc znów film wielkiej syntezy. Czy jeśli Antonioni i Resnais reprezentują dwa odgałęzienia współczesnego romansu psychologicznego, to Fellini jest przedstawicielem, o ile tak można powiedzieć, epickiego romansu lirycznego?

I wreszcie trzecia tendencja, nader ciekawa. Film radziecki, film „małego realizmu" (pomijam tu Romma, Tarkowskiego i Kalatozowa). Krąg zainteresowań i sposób patrzenia przypominający twórczość naszej grupy literackiej „Przedmieście" (Gojawiczyńska, Boguszewska, Kornacki). Drobne sprawy, drobni ludzie, świadome odintelektualizowanie i odejście od uogólnień. Jakiś bardzo ciepły i życzliwy sposób traktowania świata i ludzi. Wyraźne zafascynowanie codziennością, przeciętnością i powszedniością.

Wszystko co zostało tu powiedziane nie wyczerpuje oczywiście ani setnej części tego co można by powiedzieć o tendencjach współczesnego filmu fabularnego. Warto jednak zwrócić jeszcze uwagę na pewne nader znamienne zjawisko. Film współczesny za wszelką cenę dąży do realizmu, realizmu psychologicznego, i obyczajowego, realizmu wielkiego i małego, realizmu analizy i syntezy. A poza tym dodać wypada iż jedno się nie zmieniło w filmie — romanse. Bo w gruncie rzeczy, tak jak dawniej tak i teraz wszystko się kręci wokół spraw serca i namiętności.

Gina Lollobrigida po raz pierwszy w swym życiu jako brzydka kobieta w filmie „Szalone morze" Castellaniego.

MIESZANKA FILMOWA MIESZANKA FILMOWA MIESZANKA FILMOWA MIESZANKA FILMOWA

FFF w ŁODZI

Po wielu staraniach Łódź otrzymuje wreszcie pierwszorzędną imprezę filmową, która od sześciu lat była dostępna jedynie mieszkańcom stolicy. Tak więc po VI Festiwalu Festiwali Filmowych, który 19 stycznia rozpoczął się w Warszawie, 9 lutego w Łodzi, w kinie „Polonia" odbędzie się uroczysta inauguracja tego samego zestawu nagrodzonych filmów na festiwalach w Wenecji, Locarno, Cannes, Karlovych Varach, Moskwie i San Sebastian. Warto wymienić m. in. takie pozycje jak: „Dziecko wojny" — radzieckiego reżysera Andreja Tarkowskiego, „Przygody Münchhausena" — znanego reżysera czechosłowackiego Karela Zemana, a z filmów kinematografii zachodnich — „Zaćmienie" — kolejny film włoskiego reżysera Michelangelo Antonioniego, „Smak miodu" — angielskiego reżysera Tony Richardsona i „Electrę" reżysera greckiego Michela Cacoyannisa. Każdy film będzie wyświetlany na trzech seansach i prezentowany przez krytyków filmowych, polskich aktorów oraz przedstawicieli dyplomatycznych państw, w których został wyprodukowany. Na FFF nie zabraknie także filmów krótkometrażowych nagrodzonych na festiwalach międzynarodowych, wśród nich oczywiście polskich krótkometrażówek.

Szczegółowe omówienie poszczególnych filmów festiwalowych, fabularnych i krótkometrażowych, znajdą czytelnicy w następnych numerach „Odgłosów". Należy wyrazić słowa uznania Radzie Artystycznej łódzkiego Kina Studyjnego, łódzkiej ekspozyturze Centrali Wynajmu Filmów i Miejskiemu Zarządowi Kin za wytrwałe starania o przyznanie Łodzi Festiwalu Festiwali Filmowych. Na konferencji prasowej zorganizowanej przez wymienione instytucje oznajmiono także o projekcie zorganizowania w Łodzi, jako stałej dorocznej imprezy Festiwalu Filmów Popularnonaukowych w miesiącach jesiennych. Inicjatorem tego festiwalu jest Rada Artystyczna Kina Studyjnego, które w roku ubiegłym gościło niebagatelną liczbę 281.501 widzów na 1.664 seansach. Warto dodać, że łódzkie Kino Studyjne jest pierwszym kinem, w Polsce, w którym wyświetla się najbardziej wartościowe pod względem artystycznym i najbardziej dyskutowane pozycje kinematografii światowej.

A. N.

Szkice amerykańskie (X)

Wakacje na zacienionych brzegach

WANDA KARCZEWSKA

15 sierpnia

Jedziemy na wakacje. Rano zapakowaliśmy walizy i lodówkę z mięsiwem do bagażnika naszego „Pontiaka" i po kwadransie znaleźliśmy się na szerokiej, sześciotorowej szosie. Drogą nie ma żadnych skrzyżowań, jedziemy najwyższą dozwoloną szybkością, przez okno wpada ostra struga powietrza, chłodzi nas. Co za ulga! Jedziemy nad jezioro Davey, o dwieście mil na zachód: w okolicę nieco chłodniejszą, usianą lustrami wód. Miejscowość nazywa się Shade Shores, Zacienione brzegi. Ładnie się nazywa.

Na którejś mili spostrzegamy na skraju szosy młodego człowieka z plecakiem i sporą tablicą, przewieszoną przez ramię na pasku, z jakimś napisem na niej. Młody człowiek — widzimy to z daleka — daje znaki każdemu przejeżdżającemu wozowi, żaden jednak nie zatrzymuje się. I my też mijamy go w pędzie, odczytując napis na tablicy: „Student francuski zwiedza autostopem Amerykę".

Chłopiec patrzy na nas z zawiedzioną miną. Moja gospodyni, Bonny, tłumaczy mi: „U nas autostop nie jest popularny. Nigdy nie można wiedzieć, czy to rzeczywiście autostopowicz, czy... rzezimieszek. Zatrzymasz się dla jednego, a nagle z rowu wyskoczy ich kilku i — żegnaj się z autem, a może nawet z życiem". Ale Bonny ma dobre serce, ogląda się na studenta, patrzy przez tylne okno w samochodzie, mówi: „Żal mi go, może to rzeczywiście jakiś biedny Francuz, którego nie stać na autobus, ale my naprawdę nie mamy miejsca. Może go kto inny zabierze..."

W naszym „Pontisku" rzeczywiście nie ma miejsca, razem z dziećmi jest nas pięcioro. No, na upartego jedna osoba jeszcze by się zmieściła, ale...

Ale kiedyś nas spotka podobna przygoda. Będziemy jechały z Bonny do sąsiadów na farmę, trzaśnie nam opona, zatrzymamy się na skraju szosy i będziemy tak samo, jak teraz ten Francuz, daremnie machały rękami na przejeżdżające wozy. Wiele aut nas minie, niektóre dodadzą gazu, ludzie w nich pewnie tak samo o nas pomyślą: „A może to zasadzka?" i dopiero, gdy będziemy zrezygnowane patrzyły na jakiś mijający nas jeep, kierowca jego zatrzyma się, z wozu wysiądzie dwóch wojskowych i ci nam pomogą.

Teraz więc mijamy „french" studenta; po kwadransie skręcamy w łuk odbiegający od higway, szerokim kołem spłyniemy w dolną drogę, wiodącą w rejon lasów i jezior. Zanurzamy się w młody lasek; powiało goryczką brzóz, żywicą sosen, zapachniało czymś znajomym; przez chwilę starałam się przypomnieć czym to zapachniało i nagle uświadomiłam sobie: laskiem łagiewnickim.

16 sierpnia

Zamieszkaliśmy w trzypokojowym domku kampingowym, tzw. „cabin", zaopatrzonym we wszystkie udogodnienia: dużą kuchnię elektryczną, łazienkę, lodówkę. Domki są położone w lesie, tuż nad brzegiem jeziora, wokoło stoją wysokie kanadyjskie sosny. Każdy domek ma werandę osiatkowaną przed moskitami; nieco dalej za nami jest placyk zabaw dla dzieci: karuzela, huśtawki, dalej osiatkowana „cottage" ze stołami do gry w ping-ponga. Jeszcze wyżej jest kilka niewysokich drewnianych pomostów do gry w shuffleboard. Po prawej stoi duży budynek, „lodge", gdzie mieści się restauracja, parkiet do tańca, bar-bufet z szafą samogrającą. Do właścicieli letniska należy także spory kawał plaży z plastykowymi pomostami, trampoliną, z łodziami wiosłowymi i tratwami, zakotwiczonymi opodal brzegu.

20 sierpnia

Tego ranka zbudziłam się i nagle uświadomiłam sobie, że wczoraj, jedna z Amerykanek stanęła na mój widok, zamrugała powiekami, jakby sobie coś gwałtownie przypominała, potem jednak potrząsnęła głową i skręciła na plażę. Teraz ten obraz wyskoczył mi z pamięci i — spostrzegłam, że mój mózg, jeszcze przed kilkoma dniami roztopiony od chicagowskiego upału, wraca jednak do swej przyrodzonej konsystencji i zaczyna sprawnie funkcjonować: chwytać i rejestrować: fakty, ludzi, słowa. To na pewno wpływ tutejszego klimatu i wypoczynku na jeziorze, jaki sobie sama zaaplikowałam. Kilka godzin dziennie spędzam samotnie w łodzi wiosłowej na jeziorze.

Dziś postanowiłam opłynąć jezioro dokoła. Jednym jajowatym zwężeniem jezioro opiera się o miasteczko Dowagiac; właściwie jest to miniaturowe „shopingcenter", czyli skupisko sklepów, obsługujące wszystkie tutejsze letniska. Z tej strony — jezioro jest zarośnięte trzcinami, mulaste i —tylko tutaj mają do niego dostęp Murzyni. Stoją tutaj pod drzewami ich zaparkowane auta, w jednym śpi żywa czarna laleczka o kędzierzawych włosach; tędy też schodzą do kąpieli i na łodzie, aby łowić ryby. Czarni, zatrudnieni na pobliskich plantacjach i farmach, czy na zapleczach letniskowych większych restauracji.

Drugim zwężeniem jezioro opiera się o gęsty, zbity busz; tu liany oplątują drzewa, między zwalonymi i porosłymi bujną roślinnością pniami przemykają się jaszczurki. Ziemia pulchna i błotnista roi się od gadów i owadów, wielkie moskity opadają człowieka, ledwo tylko zanurzy się w gąszcz.

Na przeciwległym brzegu stoją skryte w drzewach luksusowe wille bogatych Amerykanów, z własnymi plażami, na które nie wolno nikomu wchodzić, z własnymi pomostami, trampolinami, łodziami żaglowymi i motorowymi.

— Tam mieszkają milionerzy — mówią z nabożną czcią „moi biedniejsi" Amerykanie — oni nie lubią jak się podpływa do nich zbyt blisko.

Och, ci „biedacy", których nie stać na własne letniskowe bungalowy, a jedynie na wynajęcie domku kampingowego za 80 dolarów na dwa tygodnie. Biedni ci właściciele jednorodzinnych, siedmiopokojowych domków i jednego, albo dwóch aut!

Ale ja jestem „foreigner", cudzoziemka, ja mogę być „stranger to a thin", czyli „nie znać się na rzeczy" i skoro mnie prąd zniesie wraz z łodzią ku pomostom milionerów, wiosłuję sobie spokojnie obok kąpiących się nababów, a potem informuję moich „biedaków", że milionerzy też mają po dwie ręce, dwie nogi i tylko po jednej głowie. Bawią mnie te tutejsze podziały, podziały nie według klas społecznych, bo w amerykańskim „społeczeństwie masowym" różnice klasowe, w naszym rozumieniu, zacierają się na rzecz różnic majątkowych; pewien obrotny polski chłopek, produkujący jakieś śrubki, milioner, gdy portier klubowy zaanonsował mu nagłą wizytę aptekarza, ocenianego tylko na pół miliona, rozgniewał się: „Czego ten żebrak chce ode mnie tutaj, w klubie? Jak ma do mnie interes, niech zadzwoni do mnie do kantoru, albo do domu, a nie tutaj!". Klub dla milionerów, to klub dla milionerów!

W naszym skupisku wynajmowanych domków kampingowych towarzystwo jest też dobrane według pozycji majątkowej, nie według klas, czy zawodów. Są tu nie nazbyt — zdaje się — obrotni przedstawiciele wolnych zawodów, mniejsi byznesiści, trochę urzędników i lepiej sytuowanych robotników: więc jakiś adwokat z dość liczną rodziną, jakiś ociemniały lekarz z żoną, który przyszedł kiedyś do naszej „cabin", rozpytywał się o lecznictwo uspołecznione w Polsce, a potem powiedział z przekąsem, „No to dobrze macie w tej komunistycznej Polsce!", jest między innymi właścicielka szkoły tańca towarzyskiego, samodzielny przedstawiciel agencji ubezpieczeniowej, jakaś nauczycielka średniej szkoły, jest sprzedawca wielkiego domu towarowego Marshall Field w Chicago właściciel naprawczych warsztatów hydraulicznych, pielęgniarka ze szpitala Chicago; wielu tych ludzi nosi nazwiska mówiące o ich polskim pochodzeniu: Dudzyk zapewne kiedyś zwykły Dudzik, Matula, Fonfara, Kovalsky, Gesky (zwykły pan Gąska ongi); ich polszczyzna jest polszczyzną starej emigracji, chłopska, dziewiętnastowieczna, którą zresztą skutecznie wypiera angielszczyzna; ich synowie i córki — słyszę — rozmawiają między sobą już tylko po angielsku i... wstydzą się nieudolnej angielszczyzny swoich rodziców.

Ta kształcąca się w średnich i wyższych uczelniach młodzież wyobcowuje się ze sfery; oni już mają „szkoły", dobrą znajomość języka angielskiego, nie rozumieją sentymentów do jakiegoś „starego kraju", ich krajem jest Ameryka; oni są nowocześni, jak cała amerykańska młodzież: lubią jazz, nowoczesny śpiew, o którym ich ojcowie mówią: „To ma być śpiew? To jest krzyk nie śpiew!"; młodzi lubią też wariackie jazdy samochodowe, wyścigi automobilowe; aż tu, do Zacienionych Brzegów, dolatuje z pobliskiego toru wyścigowego huk silników samochodowych. Młodzi urządzają sobie w „lodge" zamknięte „danceparty" bez starszych, a wieczorami, gdy studenci i studentki, pracujący w kuchni i restauracji jako kelnerzy, mają wolne, wszyscy młodzi z letniska zabierają swoim „starym" auta i uciekają gromadnie spod oka rodzicielskiego do sąsiedniego miasteczka na lody, na potańcówkę, do kina i na samochodowe flirciki przede wszystkim. Wracają późno, gdy już wszyscy śpimy; słychać wtedy ich śpiewy, śmiechy, nawoływania; wczoraj po przyjeździe poszli na molo i zakończyli zabawę wrzucaniem dziewcząt do wody; w sukienkach i bucikach oczywiście.

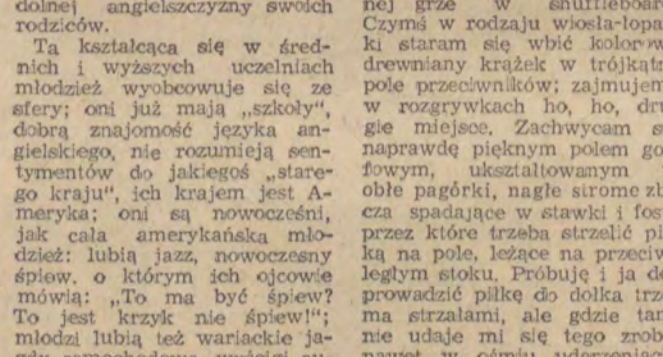

23 sierpnia

Dziś Bonny zapytała mnie, czy nie miałam w Polsce koleżanki szkolnej, albo uniwersyteckiej o takim to a takim nazwisku i imieniu. Nazwisko brzmiało z angielska, nie mogłam go sobie przypomnieć. Ktoś mnie podobno rozpoznał, dopytywał się o mnie. Może to ta kobieta, która kilka dni temu przystanęła na mój widok? Natknę się zapewne jeszcze na nią.

24 sierpnia

Jak ci Amerykanie, wolni tutaj od pracy, od pośpiechu, od myślenia o powszednim dniu — znakomicie się bawią! Zupełnie jak dzieci; łatwo, beztrosko. Poddają się ochoczo rytmowi godzin, zaproponowanemu przez managera letniska, biorą gremialnie udział we wszystkich przewidzianych planem rozrywkach — prostych, niefrasobliwych.

Jestem przy tym wszystkim, wszystkiego po trosze próbuję, we wszystkim uczestniczę. Bonny mówi, że się świetnie „przystosowałam", to ważne słowo tutaj, zapamiętajcie sobie, jedną z busoli życia tutaj jest umiejętność przystosowania się do ogólnego poziomu, standardu życia, myślenia, zwyczaju. Przystosowałam się więc, gram w ping-ponga, wieczorami przy łańcuchach zapalonych żarówek i przy pochodniach przystępujemy wraz z moim partnerem, adwokatem, do mistrzostw w podwójnej grze w shuffleboard. Czymś w rodzaju wiosła-łopatki staram się wbić kolorowy drewniany krążek w trójkątne pole przeciwników; zajmujemy w rozgrywkach ho, ho, drugie miejsce. Zachwycam się naprawdę pięknym polem golfowym, ukształtowanym w obłe pagórki, nagłe strome zbocza spadające w stawki i fosy, przez które trzeba strzelić piłką na pole, leżące na przeciwległym stoku. Próbuję i ja doprowadzić piłkę do dołka trzema strzałami, ale gdzie tam, nie udaje mi się tego zrobić nawet w ośmiu uderzeniach. Poprzestaję więc na zapisywaniu w karneciku mojego towarzysza ilości punktów przez niego zrobionych, ciągnę z nim wózek z kijami, patrzę na grupę wygodnickich graczy, którzy nawet tu, na polu golfowym, gdzie przyszli zażyć trochę ruchu na świeżym powietrzu, jeżdżą za piłką czymś w rodzaju zmotoryzowanego krzesła i wysiadają tylko do strzału.

A wieczorami — co my robimy wieczorami? Wieczorami bawimy się w „lodge" w takie przeróżne, śmieszne gry łańcuszkowo-koszykowe; jednego wieczoru na przykład, stojąc w kole podajemy sobie piłkę z rąk do rąk, ten kto nie zdąży sąsiadowi podać, zanim przygrywający fortepian umilknie, przegrywa i wychodzi z koła. I hazardujemy się! A przeżywa! Ile okrzyków zawodu albo radości wydaje się z głębi serca i płuc. Wygrać przecież można hoho! jednego dolara, dwa dolary i trzy! Za jedne pięćdziesiąt centów można się bawić do upadłego, do północy. Najwięcej krzyczą zawsze gracze przy stole tego mecenasa z Wisconsin. W ogóle wrzeszczymy chętnie przy każdej zabawie; już my tacy jesteśmy: szczęśliwi, beztroscy, swobodni; takie duże, rozbuchane dzieci. Wiemy co to radość życia.

To my, a... intelektualiści amerykańscy co na to? Profesor Saint Louis University, James F. Scott pisze: „...wskaźnikiem infantylnych tendencji naszej kultury jest skłonność dorosłych do przyswajania sobie dla własnej przyjemności rozrywek przeznaczonych dawniej wyłącznie dla dzieci... W ostatnim dziesięcioleciu ludzie dorośli stali się skłonni poświęcić niejeden niegdyś symbol autorytetu w zamian za przywilej karmienia się rozrywkami odpowiednimi dla mentalności dorastającej młodzieży".

Kropią. Zdrowo kropią amerykańscy uczeni swoje społeczeństwo, „hadko" czytać, bo to i wyręczają turystę w czynieniu uogólnień i — zarazem pozwalają dostrzec tę drugą twarz Ameryki, pełną troski o przyszłość społeczeństwa, jakże inną od tej rzucającej się na pierwszy rzut oka twarzy zadowolonych „pysznych się swoim bogactwem i przesadnym mniemaniem o sobie". Ale — przypatrujmy się tej średniej warstwie społecznej dalej, bawmy się, śmiejmy się — próbujmy beztroskich zabaw. Zawsze to chyba lepsze niż... zalewanie się wódką. Próbujmy wszelkich rozkoszy tamtego żywota, stołu także.

Po obiedzie panowie palą cygara, rozparci w plastykowych fotelach, na dworze pod drzewami, panie idą z gospodynią do kuchni i pomagają myć naczynia. Taki tu obyczaj, nie tylko na letnisku, wszędzie w każdym domu, gdzie nie ma służby.

A w niedzielę — w niedzielę jeździ się do kościoła za jeziorem. Panie wkładają na głowy kapelusiki z kwiatuszków z rzewnych piórek i woalek. Moja gospodyni, Bonny, jest elegancka, „Europejka" jak mówi trochę z przekąsem jej małżonek, i wkłada na swoje gładko zaczesane włosy prześliczną hiszpańską czarną mantylę. Ja nie zabrałam z Chicago kapelusza i następuje chwila straszliwej konsternacji; muszę zostać w domu, kobiecie nie wolno tam wchodzić do kościoła bez nakrycia głowy; chcesz chodzić — musisz się przystosować, nie masz kapelusza — nie możesz chodzić. Ale ja chcę zobaczyć i poznać wszystkie tutejsze obyczaje, niedzielno-kościelne także; upinają mi więc na czubku włosów koronkową chusteczkę do nosa, to wystarczy i katastrofa jest zażegnana.

Na mszę oczywiście spóźniamy się; wierni stoją już nawet przed kościołem, wielu nie wysiada w ogóle z aut, klękają w nim w czasie podniesienia i, siedząc wysłuchują reszty mszy i kazania. Wszystko tu zresztą świetnie słychać, kościoły bowiem są zradiofonizowane i także zresztą „zubikacjonizowane", w przedsionkach widać napisy: „Men" i „Women", czyli „Dla panów" i „Dla pań". Co kraj to obyczaj.

Wierni gremialnie przystępują do komunii, spowiadali się może w zeszłym tygodniu, może dwa tygodnie temu; przystępuje także do stołu pańskiego nasz letniskowy dziesięcioletni chuligan, który wczoraj bardzo brzydko określił zawód swojej mamusi, wcale zresztą nieuprawiany przez nią, a uderzony za karę — obiecał zarżnąć oboje kozikiem. Czy się spowiadał z tego? Nie, jest dzieckiem, które jeszcze nie grzeszy.

Ta społeczność w której się obracam, wydaje się być bardzo religijna, Bonny mówi, że w ostatnich latach zauważa się w Ameryce odrodzenie religijności, ale... dr Erich Fromm pisze: „Mówią, że weszliśmy w okres odrodzenia religijnego. Nic dalszego od prawdy! Używamy symbolów, należących do autentycznej tradycji religijnej i przemieniamy je w formułki, które służą celom wyobcowanego człowieka. Religia staje się sposobem samodzielnego zwiększania własnych zdolności osiągania sukcesu. Bóg staje się wspólnikiem w interesie".

Fe, brzydcy ci intelektualiści, nie słuchajmy ich, strasznie obrzydzają nam swoje społeczeństwo, czyż doprawdy nie może być wierzących bezinteresownie? Przypatrujmy się wszystkiemu lepiej sami, może więcej zobaczymy i lepiej te procesy ujmiemy. Z kościoła wracam z jedną z kobiet, o takim jakimś nazwisku pokrętnie polsko-angielskim, co to się pisze po polsku a wymawia po angielsku. Zauważyłam w kościele, że ta kobieta klęka, żegna się, wstaje, ale ma „nieobecną" twarz, jakby myślami była zupełnie gdzie indziej. Zgadało się jakoś o tych sprawach podczas drogi powrotnej do domu, mówiłyśmy o religijności w Polsce. W pewnym momencie powiedziała mi: „Ja jestem chrześcijanką, byłam wierzącą ale niepraktykującą. To co robię, to jest moim kompromisem. Mój Jimmy, oświadczając mi się postawił jeden warunek, on jest głęboko religijny, tak mi się zdaje przynajmniej, więc postawił warunek, że dzieci nasze wychowamy w wierze katolickiej. Zgodziłam się, Jimmy to porządny chłopak, a zresztą... zresztą przyznam się Pani, że z biegiem czasu doszłam do wniosku, że łatwiej dam sobie radę z dziećmi, dopóki one będą wierzyły w piekło i niebo.

— Mieszka Pani u Bonny, w osadzie podmiejskiej, wie Pani jak to jest... My też mieszkamy na przedmieściu. Tam jest jak na patelni, wszyscy wszystkich mają na oku. W dużym mieście, albo w centrum, łatwiej można się ukryć ze swoimi przekonaniami, czy z brakiem przekonań, z ateizmem; w osadzie przynależność do jakiegoś kościoła jest dzisiaj koniecznością, jest czymś w rodzaju osłony przed pomawianiem o radykalizm, o sprzyjanie komunizmowi. To się zaczęło od McCarthy'ego, nasiliło się od czasu przewrotu na Kubie, niektórzy ludzie zrobili się u nas histerycznie podejrzliwi, a mój Jimmy ma byznes, zależy mu na opinii dobrego Amerykanina, chodzi przecież o klientów, czyli...

Czyli wróciliśmy, chcąc nie chcąc, do Fromna.

Zamilkła. No cóż, różne bywają kręgi i ery podejrzliwości. U nas — czasem o zbyt mały radykalizm, tam — o zbyt duży. Skręćmy z toru rozmowy, zresztą... Skręcamy właśnie na drogę, prowadzącą na brzoskwiniową farmę. Zatrzymujemy się przed jednopiętrowym oblicowanym deskami domem zbudowanym w tzw. tutaj stylu kolonialnym. Pod dachem hangaru stoi długi i szeroki, szary „Plymouth", rocznik 61, obok niego — cudeńko tylko dla znawców — ostatni frymuśny model Forda, których pokazało się podobno na rynku amerykańskim 70 sztuk. Karoseria samochodu „przedpotopowa", jest wierną kopią pierwszego samochodu Forda w ogóle, ale za to motor i całe wnętrze jest ostatnim krzykiem mody, — na czym się kompletnie nie znam — automatyczna kierownica, takaż skrzynka biegów, jest zradiofonizowany, aklimatyzowany, ma automatyczne otwieracze i zamykacze szyb. Obok — stoi samolot; jest to jeden z 5.000 farmerskich samolocików, służących do spryskiwania drzew płynem przeciw szkodnikom i w ogóle do oblatywania tej

ogromnej posiadłości i do pilnowania ekip Meksykańczyków zatrudnionych sezonowo przy obieraniu owoców.

Przywozimy z farmy kilka buszli piczesów (peaches), czyli brzoskwiń, ale jakich! Wielkich jak największe jaffskie pomarańcze, tryskających Niagarami soku. Stawiamy owoce na werandzie i każdy kto wchodzi lub wychodzi z domu sięga po nie ręką jak po ulęgałki.

28 sierpnia

Już przedostatni dzień wakacji. Dzisiaj rano natknęłam się znowu na tę kobietę, która kiedyś przystanęła na mój widok. Teraz ja ją zatrzymuję, mrużę swoje krótkowzroczne oczy i nagle jednocześnie, samym ruchem ust, wymawiamy swoje imiona.

Tak, znałam ją kiedyś. Chyba osiemnaście lat temu. Ona w czasie okupacji robiła tajną maturę, zaczynała kurs szkoły dramatycznej. To było w Krakowie. Ostatni raz widziałam ją, na „Romeo i Julii" w Teatrze Starym. Siedziała w tym samym rzędzie co ja. Widziałam jak w scenie balkonowej patrzyła urzeczona na aktorkę, powtarzając ruchem warg słowa Julii.

Teraz... uprzytomniłam sobie, że nie pamiętam jej nazwiska, nie wiem, jakie ma tutaj imię.

Ona mówi:

— Mnie tu wołają Jean...

Ogarnia ją przypływ serdeczności. Żałuje, że już jutro wyjeżdżamy, ale zaprasza mnie do Chicago. U niej będzie mi o wiele wygodniej niż u Bonny — powiada — ona ma big beautiful house with four bed rooms, two cars... czyli piękny duży dom o czterech sypialniach, dwa auta. Powiada — proszę przyjechać na Christmas...

Mówię, że na Boże Narodzenie będę już pewnie w domu, w Polsce. Słyszę zdziwienie:

— What? Pani nie przyjechała na stałe do Ameryki?

— Przyjechałam na trochę, w odwiedziny.

— O, to nie szkodzi. Wielu przyjeżdża w odwiedziny a jak zobaczy jak my żyjemy, zostaje na stałe. Tu jest przecież cudownie, nie tak jak w Polsce — powiada — przecież u Was straszna bieda — powiada — Przyjedzie Pani do mnie, zobaczy jak naprawdę żyje się w Ameryce i nie zechce Pani tam wracać. Jestem święcie przekonana.

Patrzę na nią w milczeniu i myślę, co się stało z tą ongi młodą, subtelną dziewczyną, wzruszoną losami szekspirowskiej Julii, z dziewczyną, która stoi teraz przede mną i swoim gardłowym głosem mówi o swoich „hausach, karach i bedrumach", pewna że jak ja właśnie to zobaczę (jakby w Ameryce nie było ciekawszych rzeczy do zobaczenia) to na pewno zostanę. Co się stało, że nie zapyta mnie o moje uczucia do mojego „biednego" kraju, do bliskich mi ludzi, że nie przyjdzie jej na przykład do głowy myśl, aby zapytać, a co ja bym robiła tam u nich?

Mówię:

— Nie, Jean, ja pobędę tu kilka miesięcy, popatrzę sobie, jak się wam tu żyje, popatrzę na teatry, muzea, architekturę, na nowojorskie drapacze, pochodzę na koncerty i... wrócę.

Teraz ona jest zaskoczona. Patrzy przez chwilę na mnie, patrzy zupełnie inaczej, niż przed chwilą, gdy mnie witała. Jest zbita z tropu. Wiem co myśli.

Później będę miała więcej takich spotkań, moi rozmówcy będą przekonani, że skoro już tam przyjechałam to na zawsze, potem będą powtarzali zdziwieni „Nie na zawsze?", a potem niektórzy z nich, niezauważalnie, jakby pod skórą, zaczną sztywnieć.

Teraz Jean przełyka swoje małe rozczarowanie. Mówi:

— Aa, pewnie jesteś zamężna i dlatego... No, męża można sprowadzić...

— Zamężna jestem, owszem...

Ona znów patrzy na mnie, znowu jest ścięta chłodem, ale... zaprasza mnie na wrzesień. Zdaje mi się, że zaintrygowałam ją bardziej, niż gdybym się rzuciła w jej ramiona z okrzykiem „Zostaję!". Ale i ona właśnie, ta zmieniona Jean, ta dawna Janka z krakowskich Plant, tak znakomicie „przystosowana", zaczyna mnie jakoś bulwersować. Zdaje mi się, że schwyciłam w rękę kawał gliny, z której będę lepić jakąś postać. Sylwetkę jej i zarysy twarzy już wyczuwam.

Powiadam: — Dobrze, dziękuję ci Jean, przyjadę do ciebie na wrzesień.

WANDA KARCZEWSKA

I cóż dalej młody człowieku?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

wszystkim wiedzieć już dziś po to, by rozczarowań było jak najmniej. I warto wysnuć wnioski: im prędzej młody człowieku zdecydujesz się uwzględnić potrzeby życia i techniki, która opanowuje nasze zakłady przemysłowe — tym lepiej dla ciebie i dla przemysłu.

APEL O TRZEŹWOŚĆ

Apelujemy o trzeźwość i życiowość decyzji młodego człowieka nie bez podstaw: nawet w 1980 roku przemysł łódzki nie zaspokoi swych potrzeb jeśli chodzi o fachowców, majstrów, techników czy choćby wykwalifikowanych robotników. Nie zaspokoi, gdyż w międzyczasie przewidujemy burzliwy rozwój przemysłów związanych z nową techniką, nowymi surowcami (metal, chemia, elektrotechnika). I jeszcze z jednego powodu nie zaspokoi: ludzi przez lata stojących przy maszynie włókienniczej nie tak łatwo nauczyć obsługi szlifierki czy nowoczesnego agregatu w elektrotechnice czy w łączności. Nie zapominajmy, że w roku 1980 we „włóknie" zatrudniającym dziś w Łodzi 136 tys. ludzi zostanie jedynie około 80 tys.

Jeżeli więc nasze jutro domaga się działania już dziś, jeżeli szkoły zawodowe nie zaspokoją wszystkich potrzeb kadrowych naszego przemysłu, a nie zaspokoją jeśli do szkół zawodowych będziemy kierować młodzież w dotychczasowych ilościach — trzeba szukać środków zaradczych. O jednym z nich mówił mi inż. Wroński z łódzkiego Kuratorium. Jest wicekuratorem a sprawy zestrojenia ambicji młodych łodzian z potrzebami życia leżą mu szczególnie na sercu. Oto jego propozycja:

— Kierować do szkół zawodowych więcej absolwentów niż do tej pory. Powiedzmy zamiast 8.800 (będzie ich tylu w 1965 roku) — 10 tysięcy, a do liceów ogólnokształcących 3 tysiące. Ale przecież i tak zostałoby potem około 2 tys. młodych ludzi kończących licea (odsiew wynosi około 40 proc.) z których nie wszyscy dostaliby się na studia. Rozpatrujemy więc obecnie inne rozwiązanie problemu młodego człowieka.

A to inne rozwiązanie jest dość zaskakujące, choć przecież w łódzkich warunkach warte przedyskutowania: uczmy zawodu już w... liceum! Ale uczmy bliżej określonego zawodu, np. elektrotechniki, pracy w fabryce transformatorów, w laboratorium chemicznym itp. Na tę naukę można by przeznaczyć jeden dzień w tygodniu — a zajęcia odbywałyby się w warsztatach szkolnych lub w fabryce. Jaka byłaby przyszłość licealisty tak przygotowanego do życia? Ci, którzy z różnych powodów nie dostaliby się na uczelnię, z łatwością otrzymaliby pracę w przemyśle, a po roku czy dwóch takiej pracy Kuratorium wydawałoby stażystom dyplomy wykwalifikowanego robotnika względnie — po dalszych kilku latach — dyplom majstra.

Ten system zmniejszyłby do minimum gorycz zawodu czy osamotnienia u tych wszystkich, którzy po liceum i bezowocnych próbach wstąpienia na studia, zostają bez zawodu, a więc na lodzie... Jest to rzecz jeszcze dyskusyjna, ale jeśli „przejdzie" — od nowego roku szkolnego mielibyśmy w Łodzi zawodowe kierunki w liceach...

NA KOGO CZEKAMY

A więc młody człowiek idzie do szkoły zawodowej. Sama decyzja jednak nie wystarczy, jeśli się zważy, że przemysł, życie i nasza najbliższa przyszłość określiły już dość dokładnie, czego oczekują od szkolnictwa zawodowego w naszym mieście. W „szkołach zawodowych" mamy i technika i zasadnicze szkoły uczące zawodu, mamy uczelnie zawodowe międzyzakładowe i przyzakładowe.

Technika mają zapewnić dopływ do przemysłu ludzi o średnim technicznym przygotowaniu ogólnym, umożliwiającym pracę na wszystkich stanowiskach między inżynierem i wykwalifikowanym robotnikiem, zasadnicze szkoły zawodowe zaś — szeregowych ale dobrych fachowców. Władze oświatowe, dążąc do uzyskania jak największej jasności w sprawie potrzeb, przeprowadziły niedawno ankietę pośród łódzkich zakładów przemysłowych. Chodziło o odpowiedź na takie pytania:

— Ilu chcemy (i jakich specjalności) techników?

— Ilu (i jakich specjalności zawodowych) wykwalifikowanych robotników czyli absolwentów zasadniczych szkół zawodowych?

Okazało się, że przemysł może na każdych 100 techników zatrudnić 285 „szeregowych" fachowców czyli wykwalifikowanych robotników. Ale żeby mogło tak się stać rekrutacja w szkołach zawodowych musi być nieco inna: na każdych 100 techników 123 uczniów zasadniczych szkół zawodowych. Dlaczego? Dlatego, że w technikach jest większy odsiew uczniów w trakcie trwania kursu, a poza tym — część absolwentów idzie po technikum na wyższe studia, specjalizuje się dalej.

Ale i te liczby nie są ostateczne. W miarę unowocześniania naszego przemysłu, wprowadzania automatyzacji produkcji maleć będzie z czasem liczba robotników wykwalifikowanych na korzyść techników, coraz więcej będzie w zakładach przemysłowych stanowisk pracy wymagających wysokiego przygotowania technicznego, coraz mniej — związanych ze znajomością tylko jednej maszyny, jednego artykułu, jednej specjalności. Bo zwróćcie uwagę:

w 1961 r.	1 technik	— 2,3	wykwalifikowanych	robotników
w 1965 r.	1 „	— 1,7	„	„
w 1970 r.	1 „	— 1,4	„	„

A DZIEWCZĘTA?

Wystarczy również spojrzeć na wyniki ankiety, o której mowa, aby zorientować się, jak szybko rosną potrzeby poszczególnych przemysłów, jak bardzo zmienia się struktura Łodzi przemysłowej. Np. budownictwo (które jak nigdzie indziej wzięło na swe barki zbudowanie w obecnym 20-leciu niemal całych dwóch nowych miast wielkości... Łodzi, czyli dwa razy po 300 tys. izb) zwiększyło swe zapotrzebowanie na techników do 5,8 proc. wszystkich absolwentów szkół podstawowych i do 13 proc. robotników wykwalifikowanych, przemysł elektrotechniczny i energetyka — 8,2 proc. (technika) i 11,2 proc. zasadn. szk. z. telekomunikacja — 12,8 proc. ... Przemysł metalowy gorączkowo odrabia zaległości poprzedniego okresu i życzy sobie, aby aż 22 proc. absolwentów szkół podstawowych wstąpiło do techników, a 32 proc. — do szkół zasadniczych.

Na tle tego burzliwego wzrostu zapotrzebowania widać wyraźnie malejące zainteresowanie kadrami ze strony przemysłu włókienniczego: w latach 1958—61 do szkół włókienniczych szło około 30 proc. młodzieży, teraz (np. na rok szkolny 1963/4) — wystarczy mu już tylko około 12 proc. Do szkół kształcących włókniarzy, garnęło się przede wszystkim wiele dziewcząt. I co z nimi teraz zrobić? Jak im ułatwić zdobycie zawodu i pracy po szkole w sytuacji, gdy — jak już wspomnieliśmy — ze 136 tys. włókniarzy w Łodzi zostanie w 1980 roku zaledwie 80 tysięcy?

Trzeba przyznać, że szybko pogodzono sytuację dziewcząt z wymogami dnia dzisiejszego i najbliższej przyszłości.

— Od nowego roku szkolnego — mówiono mi w Kuratorium — tworzymy w Łodzi technikum architektury dla dziewcząt. Będzie to swego rodzaju wentyl, umożliwiający młodym łodziankom zdobycie zawodu poza włókiennictwem — obok mechaniki precyzyjnej, radiotechniki, telekomunikacji, gdzie pracować będzie w Łodzi coraz więcej kobiet przybędzie więc im nowa możliwość uzyskania kwalifikacji, wysoko cenionej w naszym mieście (wielki rozmach budownictwa!).

MIASTO NIE ŚPI

Wypada jeszcze stwierdzić, że w tej wielkiej pracy nad ukształtowaniem możliwie najlepszej przyszłości młodego człowieka, dużą rolę odgrywa wysiłek miasta, budującego materialną bazę nauczania i kształcenia fachowców. Wysiłek tym większy w ostatnich latach, że przecież w 1960 roku mieliśmy w Łodzi jedynie 2 szkoły z prawdziwego zdarzenia (technikum mechaniczne i energetyczne) i że do 1965 r. będziemy mieli już ... 23 szkoły. W ciągu następnych 10 lat stanie 10 nowych budynków szkolnych przeznaczonych na potrzeby szkolnictwa zawodowego.

Dużo to czy mało? Chyba bardzo dużo. Nasza młodzież zyskuje coraz lepsze warunki zdobywania wiedzy tak potrzebnej jej w dalszym życiu. Czy jednak te warunki stworzone przez troskę władz miejskich i społeczne środki — są najważniejszym elementem przygotowania młodego człowieka do życia? Jeśli powiemy, że miasto zdobyło się na wielki wysiłek stworzenia materialnych ram dla rozwoju tego technicznego przyrostu Łodzi — to na równie wielki wysiłek powinny jak najszybciej zdobyć się władze oświatowe w dziedzinie jeszcze bardziej zasadniczej. Chodzi nam o poziom nauczania, atmosferę panującą w łódzkich szkołach zawodowych, a więc o samo jądro procesu kształtowania ludzi, którzy kiedyś stanowić będą o naszej technice i produkcji. Z tym poziomem zaś i z tą atmosferą jest w tej chwili nie najlepiej.

NIE MA PRACY BEZ SERCA

Zacznijmy od tego, że pewien dość znaczny odsetek młodych ludzi z gruntu źle się czuje w szkołach, do których przyszli. Nikt im nie pomógł, nie poradził w okresie podejmowania decyzji, kierowanie do zawodu jest jeszcze u nas dość przypadkowe a badania psychotechniczne jak dotąd obejmują jedynie zawody pracownika łączności i telekomunikacji oraz kierowców. Czy dziwicie się więc, że ludzi najbardziej związanych ze swym zawodem spotkać można za kierownicą samochodu, w warsztatach naprawy względnie na poczcie? W tych specjalnościach ludzie czują się doskonale.

Zastęp ludzi o przypadkowych zawodach, pracujących bez serca, powinien jednak maleć — już w przyszłych latach przez poradnie psychologiczne przejdą wszyscy kandydaci do zawodów w przemyśle metalowym, w energetyce i elektrotechnice.

Obok przypadkowości w wyborze zawodu — słabe przywiązanie młodzieży do szkoły. A skutki? W niektórych szkołach zawodowych w Łodzi tzw. sprawność wynosi zaledwie 30 proc. (a więc aż 70 proc. młodych ludzi rezygnuje z obranego kierunku). Młody człowiek związany jest bardzo luźno ze szkołą nie tylko dlatego, że brak w niej pracowni, w których zajęcia praktyczne i doświadczenia mogłyby się stać prawdziwą przygodą i nie tylko dlatego, że w jednym budynku mieści się wiele specjalności. Prawdę mówiąc, często zamiast w interesujący sposób przekazywać wiedzę o świecie i technice, rozbudzać zainteresowanie i wyobraźnię porywającymi sprawami postępu — wykłada się tępo poszczególne przedmioty, a wykład to przecież wiedza werbalna, nie prowokująca serdecznych pasji i zainteresowań.

Nie bez znaczenia jest też sprawa autorytetu grona profesorskiego. Praktyka uczy, że ten autorytet w wielu szkołach nie jest za wysoki, zdarzają się wypadki omijania przez nauczycieli praw współczesnej techniki, osiągnięć naukowych, którymi tak przecież pasjonuje się młodzież.

Wielu wykładowców samo życie zmusiło do godzenia ambicji utrzymania się w szkole z koniecznością dorabiania na półetatach, łapania dodatkowych godzin, wielu pracuje w przemyśle, wpada do szkoły, jak po ogień, nie zna swoich wychowanków i nie ma zbyt wiele czasu na uzupełnianie wiedzy tym co niesie współczesność. — Stąd częste zażenowanie, gdy klasa domaga się przedstawienia ostatnich osiągnięć, które ją zafrapowały.

— Uczę od 30 lat — oświadczył jeden z wykładowców w szkole zawodowej — i zawsze było dobrze. Dlaczego nagle teraz pretensje pod moim adresem?

Dlatego, że co drugi uczeń w klasie znacznie więcej od niego wie o helikopterze, wynalezionym przez Amerykanina o polskim nazwisku Sikorski, o gazolinie wysokooktanowej, wynalezionej przez Rosjanina Ipatiewa, o trójwymiarowym kinie (Waller-USA), o cyklotronie (Lawrence — USA). A wszystko to i nie tylko to stworzyła ludzkość właśnie w ciągu owych 30 lat, na które powołuje się wykładowca.

Władze oświatowe zdają sobie sprawę z tego, że trzeba generalnie zmienić metody nauczania przyszłych techników i fachowców dla przemysłu. Należy poprawić zasadniczo warunki w szkołach, podnieść poziom przygotowania teoretycznego wielu wykładowców w szkolnictwie zawodowym. Ale przecież nie zapominajmy i o najważniejszym — los nauczyciela w szkolnictwie zawodowym

musi być bardziej atrakcyjny i pociągający.

Jest to chyba najtrudniejsze ze wszystkich zadań. Co zrobić, by do szkoły zawodowej opłacało się przyjść na stałą posadę nauczycielską zdolnemu inżynierowi i fachowcowi? Co zrobić, by życie nie ogołacało szkół zawodowych z co zdolniejszych sił nauczycielskich (z technikum budowlanego od września ub. r. odeszło do pracy w budownictwie... 8 inżynierów — profesorów!). Jakie powinny być bodźce, aby nawet nowe, wielkie obiekty przemysłowe przyjmujące fachowców z otwartymi ramionami, nie odciągały dobrej kadry ze szkolnictwa? (Bełchatów, Płock i inne)...

Wyjście powinno się znaleźć. Jeśli poważnie myślimy o stworzeniu wartościowej kadry młodych fachowców i techników, których w najbliższym dziesięcioleciu i tak nie będzie za dużo — to przecież nie wolno nam dłużej tolerować sytuacji, w której — nauczyciele zabiegani, spętani koniecznościami, nie uzupełniający swej wiedzy, dochodzący do szkoły na godzinkę, dwie, stanowią zbyt duży odsetek.

FELIKS BĄBOL

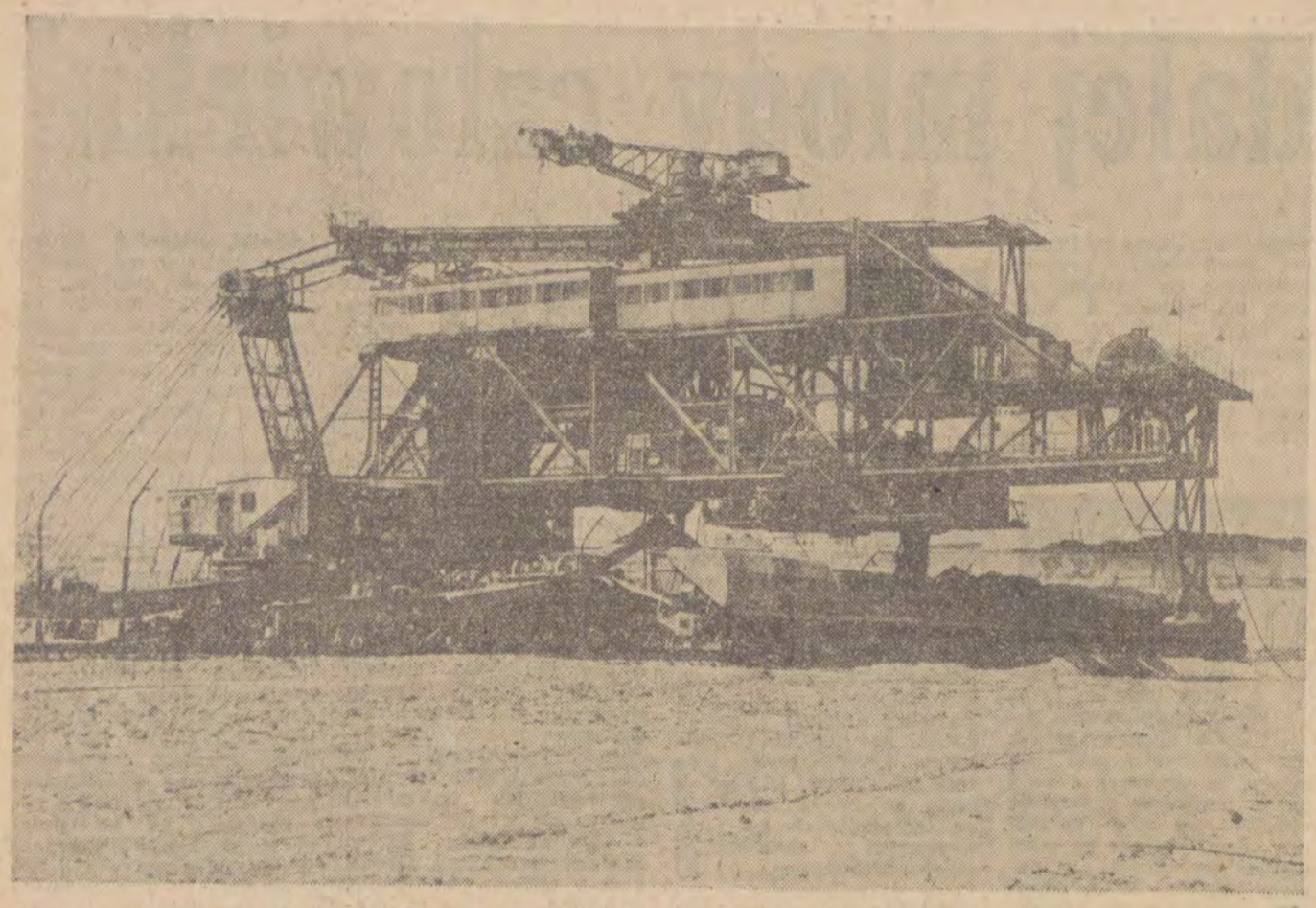

Maszyny przy pomocy których wydobywa się węgiel brunatny. Takie kolosy będą pracowały w Bełchatowie.
Fot. CAF

W ŚRODKU POLSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

w tym samym roku 1960 pracownicy przemysłu metalowego, chemicznego stanowili w Łodzi niewiele więcej aniżeli 19,2 proc. to w roku 1980 będzie już ich wśród wszystkich łodzian pracujących w przemyśle aż 39,3 proc.

Te zmiany mają nie tylko u swoich podstaw podłoże czysto ekonomiczne, ale również społeczne. I tak — jak znowu obliczyli statystycy, w roku 1960 średnia płaca miesięczna brutto w przemyśle uspołecznionym kształtowała się następująco: we włókiennictwie i dziewiarstwie — 1.526 zł, w przemyśle odzieżowym — 1.286. Natomiast w dziedzinach, które mają być właśnie ową wielką szansą dla Łodzi w następnym 20-leciu średnie płace wynosiły: przemysł maszynowy — 1.915, elektrotechniczny — 1.765, przemysł środków transportu — 1.950, chemiczny — 1.764, i metalowy — 1.778.

W tych wielkich planach i zamierzeniach chodzi więc nie tylko o to, by Łódź nie stała wyłącznie na włóknie, ale również by jej mieszkańcom żyło się lepiej i dostatniej.

WIELKA SZANSA — BEŁCHATÓW

W roku 1960, w czasie poszukiwań ropy naftowej, natrafiono w rejonie Bełchatowa na złoża węgla brunatnego. Badania geologiczne wykazały bardzo poważne zasoby tego paliwa, ciągnące się pasem o długości 26 km i szerokości od 1 do 3,5 km. Miąższość pokładu wynosi 45 — 65 metrów. Te zasoby węgla brunatnego określa się na około 1.800 mln ton. Planowana na tym terenie budowa Bełchatowskiego Okręgu Energetyczno-Górniczego obejmie obszar około 200 km kw. i na północy sięgnie po linię Szczerców — Bełchatów, a na południu Pajęczno — Kamieńsk. Na tym terenie powstaną dwie lub trzy kopalnie odkrywkowe, elektrownia o mocy wytwórczej około 6.000 megawatów, a więc 3 razy więcej aniżeli planowana moc obecnego giganta — Turoszowa. Bełchatów daje szansę zbudowania wokół kopalni węgla brunatnego nie tylko potężnych elektrowni, ale również huty aluminium pracującej na bazie tzw. iłów oraz glinu pochodzącego z nadkładu. Ponadto pokłady węgla bełchatowskiego zawierają duże ilości lignitów stanowiących surowiec do produkcji węgla generatorowego oraz mas włóknistych nadających się do produkcji tektury, płyt pilśniowych oraz urządzeń izolacyjnych.

Bełchatów to jednak nie tylko kopalnia i przemysł lecz również ogromne zmiany komunalne i socjologiczne. W okresie budowy będzie na tym terenie pracowało około 12 tys. ludzi. Dla nich planuje się wybudowanie w tym rejonie blisko 50 tys. izb mieszkalnych. Po pełnym uruchomieniu tego wielkiego ośrodka energetyczno-górniczego, może być i tak, że do Łodzi będziemy jechać przez... Bełchatów! Zależy zresztą z której strony będziemy wyjeżdżali.

DOJAZDY I LUKI

Codziennie z terenu naszego województwa wyjeżdża do pracy około 60 tys. osób. Szlaki prowadzą na Śląsk, do Warszawy, a najbardziej uczęszczany — do Łodzi. Tu przyjeżdża 24 tys. osób. Trzecia część przybywa linią kolejową z Koluszek skąd jest najlepsze połączenie. Połowa „telepie" się tramwajami.

W najbliższym 20-leciu wyjazdy do Łodzi muszą się poważnie nasilić. Rolnictwo, jak przewidują planiści, zwolni blisko połowę zatrudnionych obecnie rąk roboczych. Poprawią się warunki komunikacyjne przez zelektryfikowanie linii z Łowicza i Kutna, co jak wskazuje przykład Koluszek, bardzo zachęca do przyjazdów.

Tymczasem plan perspektywiczny rozwoju Łodzi zakłada utrzymanie liczby przyjeżdżających do pracy na dotychczasowym poziomie. Jak to pogodzić z przewidywanym deficytem siły roboczej w Łodzi?

Jeden z referentów obliczył, że gdyby deficyt chciano pokryć zwiększeniem imigracji, to liczba mieszkańców miasta musiałaby wzrosnąć do 1.100 tys. osób, do czego w żadnym wypadku nie wolno dopuścić.

Są dwa wyjścia: albo osiedlać ludzi w strefie podmiejskiej Łodzi, na co w tej chwili zupełnie nie jesteśmy przygotowani, albo lokować przemysł przede wszystkim w rejonach nadwyżki siły roboczej.

Problem dojazdów do pracy wskazuje, jak wiele jeszcze jest luk w planach perspektywicznych, życie może pójść drogą zupełnie odmienną od przewidywanej.

WIELKA NIEWIADOMA

Wielką niewiadomą stanowi oczywiście człowiek — a raczej ludność naszego miasta i województwa za lat 20.

Twierdzi się, na podstawie naukowych prognoz, że do roku 1980 przybędzie Łodzi 134 tys. mieszkańców, w tym tylko 54 tys. z przyrostu naturalnego.

Wskaźnik przyrostu naturalnego jest w Łodzi od lat najniższy w kraju, struktura wieku ludności sprawia, że najmniej rodzi się u nas dzieci i najwięcej umiera starszych osób. Na przyszłość demografowie szykują dla Łodzi wręcz ponurą prognozę: o ile w latach 1976—80 wskaźnik przyrostu naturalnego w kraju przewidziany jest na 9/7 promille to w Łodzi tylko na 0,8!

Wiele osób protestowało na sesji przeciw tej prognozie, wysuwało kontrargumenty. Nie chodziło tutaj bynajmniej o akademicką dyskusję. Bo jeżeli niewiadomą pozostaje liczba ludności, to nie sposób przewidzieć choćby ilości miejsc pracy.

Na to zapotrzebowanie wpływa zresztą znacznie więcej czynników. Planiści obliczyli, że w roku 1980 Łodzi będzie brakowało 37 tys. pracowników, zaś województwo będzie miało nadwyżkę 68 tys. rąk do pracy. Założono jednak, że zmaleje aktywność zawodowa kobiet, ale przecież przykład krajów wysoko rozwiniętych wskazuje, że wraz ze wzrostem poziomu życia ma miejsce zupełnie odwrotne zjawisko!

Jeden z naukowców — doc. dr Jan Mujżel posunął się nawet do stwierdzenia, że w roku 1980 nadwyżka rąk roboczych wyniesie około 100 tys. ludzi...

Nie wiadomo również jaki wpływ na ilość miejsc pracy będzie miało przewidywane na przyszłość skrócenie tygodnia roboczego o 35 proc.

Tak więc prognoza przyrostu ludności sporządzona w jednym wariancie, budzi wątpliwości i chyba nie jest wystarczająca.

WODA ZNACZY ŻYCIE

Szukano dogodnego miejsca dla ulokowania przemysłu włókienniczego i wybór padł na Łódź ze względu na... obfitość rzek i strumieni.

Tak było półtora wieku temu.

Dziś Łódź dusi się od braku wody. Na ukończeniu znajduje się druga nitka rurociągu Pilica — Łódź, ale fachowcy zgodnie twierdzą, że zaspokoi ona potrzeby tylko do roku 1967. Co dalej?

To pytanie stale powtarzało się podczas sesji. Prof. A. Tuszko, który od 10 lat głowi się nad tą sprawą, podał następujące liczby: Łodzi i województwu za lat 8 będzie brakowało 4 metry sześcienne wody na sekundę, za lat 18 już 30 m sześciennych, czyli miliard metrów rocznie!

Olbrzymie ilości wody pochłonie elektrownia w Bełchatowie, czego dawniej nie można było przewidzieć.

Kosztem 2 miliardów zł można zbudować zbiorniki wodne w Sulejowie i Działoszynie i z nich czerpać wodę. Ale to pokryje tylko połowę potrzeb. Jedynie kompleksowe — zdaniem prof. A. Tuszki — rozwiązanie stanowi kanał Wisła — Wisła, który przechodziłby przez Łódź. Jego koszt budowy nie powinien, zdaniem autora projektu przekraczać nakładów przewidywanych na zbiorniki wodne w Sulejowie i Działoszynie.

Koncepcja budowy tego kanału-giganta została na razie odłożona „ad acta". Czy jednak nie warto będzie do niej powrócić?

CO WARTE SĄ ŚCIEKI?

Ostateczną odpowiedź na to pozornie błahe pytanie może dać tylko ścisła współpraca ojców miasta i województwa a raczej efekty tej współpracy.

Ścieki łódzkie odpływają Nerem. Rzeka ta pachnie to prawda, ale na tym kończą się przykrości. Nie notuje się u mieszkańców doliny Neru większej liczby zachorowań na dolegliwości zakaźne aniżeli gdzie indziej. Natomiast faktem jest znacznie większe spożycie mleka i masła. Ner jest Nilem wyżyny łódzkiej. A jednak wykorzystujemy go tylko w minimalnym procencie.

Gdyby ścieki łódzkie rozprowadzono kanałami irygacyjnymi po całej zachodniej części województwa można by na tym obszarze wyżywić dodatkowo 40 tys. krów. Koszt budowy kanałów wróciłby się z nawiązką w ciągu kilku lat.

Nerem odpływa równowartość 30 ton nawozów mineralnych i wielka ilość substancji próchniczych potrzebnych glebie. Nie ma dotychczas zgody w „narodzie" co do wykorzystania Neru.

A przecież warto spróbować choćby na 10 lat, jak mówił jeden ze specjalistów — zbudować kanały i przez ten czas wsiąknie w glebę wielkie bogactwo. Później można zrobić coś dla nosa tzn. ową sporną oczyszczalnię biologiczną u granicy Łodzi.

ŁÓDŹ PROSI O STREFĘ

Łódź to jedyne bodaj wielkie miasto w świecie bez własnego zaplecza. Zaludnienie tuż poza granicami miasta jest nie większe niż na krańcach województwa. 60 proc. podmiejskiej ludności utrzymuje się z rolnictwa, przy tym rolnictwo to nie jest nastawione na zaopatrywanie miasta. Np. sadów strefa podmiejska ma mniej niż sama Łódź! Okoliczne miasteczka nie rozwijały się równocześnie z

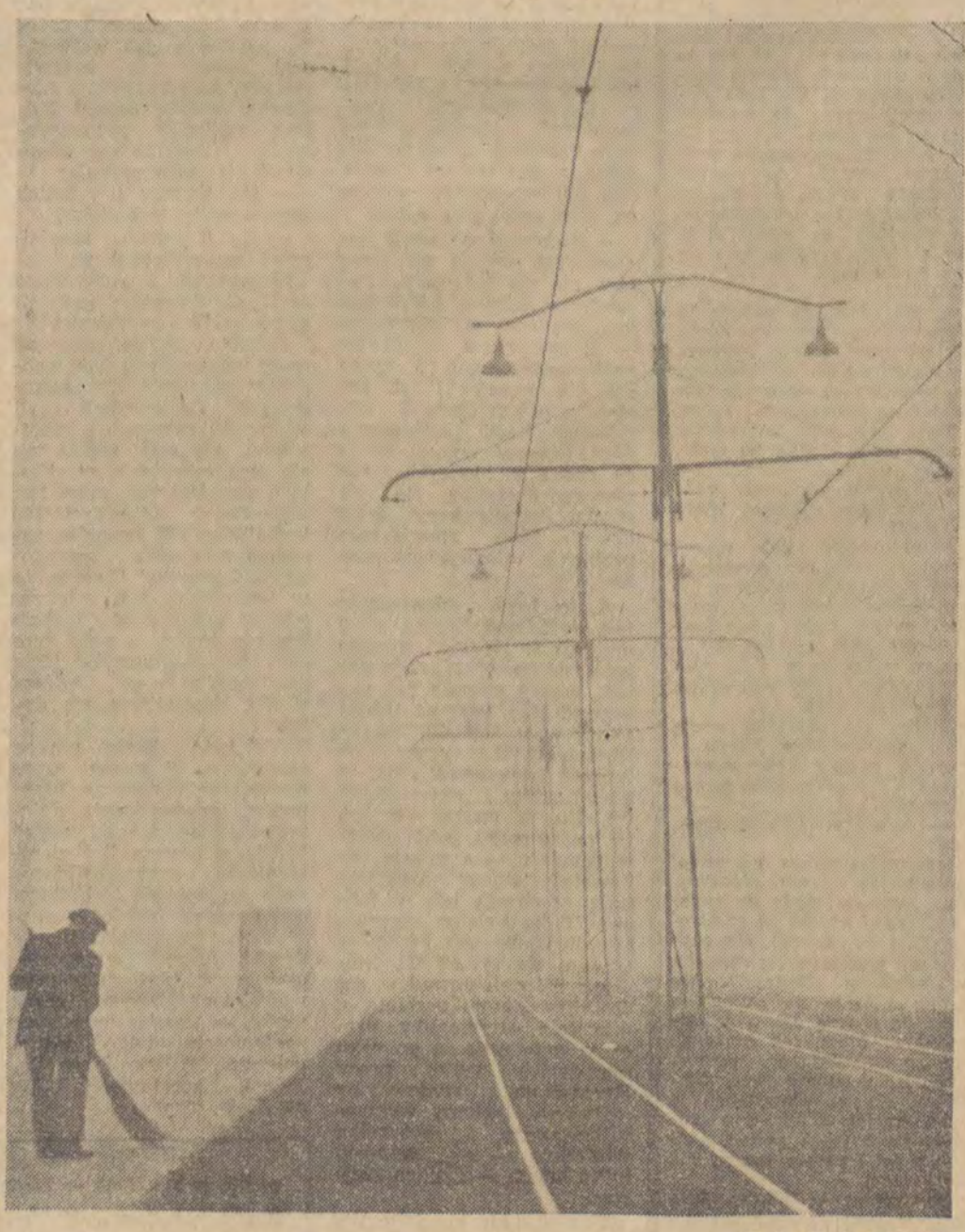

Fot: W. BILIŃSKI

Łodzią, a przeciwnie powstanie kolosa doprowadzi'o je do ruiny. Dotychczas miasto i obszary otaczające rozgranicza przepaść. Jej zniwelowanie jest pilną potrzebą najbliższych lat i powinno stać się wspólną troską władz miasta i województwa.

Do jakich celów potrzebna jest Łodzi strefa podmiejska? Wymieńmy tylko niektóre:

❖ rozgęszczenie przemysłu — inne wielkie miasta przemysłowe starają się tego dopiąć. Tak np. we włókienniczym Lyonie, w samym mieście przemysł zatrudnia zaledwie 7 tys. robotników.

❖ istnieje potrzeba rozluźnienia zabudowy mieszkaniowej,

❖ stworzenia potrzebnych miastu ośrodków wypoczynkowych,

❖ zapewnienia odpowiedniej bazy wytwórczej produktów mleczno-owocowo-warzywniczych w miejsce do tej pory oferowanego zboża i ziemniaków.

* * *

„PROSZĘ O GŁOS" — 20 razy padły te słowa na sali, gdzie odbywały się obrady Sesji Naukowej poświęconej problemom rozwoju regionu łódzkiego. O głos prosili przedstawiciele świata nauki, praktycy-ekonomiści, działacze społeczni, a wśród nich m. in. zastępca przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów — minister Z. Januszko, wiceminister przemysłu lekkiego — mgr W. Kakietek, rektor PŁ — prof. dr J. Werner, prof. dr R. Bierzanek, prof. dr A. Ginsberg, doc. dr J. Mujżel, doc. dr T. Olszewski, dr W. Piotrowski.

Także i my wychodząc z założenia, że dyskusja nad najżywotniejszymi sprawami Łodzi i województwa nie powinna się ograniczyć do szczupłego gremium, bowiem dotyczy przecież najżywotniejszych spraw wszystkich mieszkańców Ziemi Łódzkiej, nie tylko informujemy o jej przebiegu, ale chcielibyśmy do niej dorzucić swoje „trzy grosze".

Wydaje nam się, że taką sprawą nr 1, która powinna być jeszcze raz wielokrotnie „przewentylowana" jest problem zatrudnienia. Bo właściwie nie wiadomo czy będziemy mieli nadwyżkę siły roboczej, czy też znowu wystąpi deficyt i trzeba będzie zdecydować się na „import" do Łodzi rąk roboczych. Wreszcie ile? Jedni mówią 100 tysięcy, drudzy — 60. Drobiazg — 40 tys. różnicy. A przecież w praktyce znaczy to 40 tysięcy stanowisk pracy, 40 tysięcy problemów znaczących w istocie ludzkie życie, warunki bytowania. Jeżeli jest już mowa o zatrudnieniu to słowo o problemie kobiet. Nie wiadomo czym się kierowali autorzy prognoz i przewidywań stwierdzając, że w miarę upływu lat aktywność zawodowa kobiet będzie malała. Dziwne, bo przecież przykłady takich krajów o wysokiej stopie, jak choćby Szwecja, Stany Zjednoczone, czy Szwajcaria świadczą o czymś wręcz odwrotnym! Zresztą robimy w tej chwili olbrzymie wysiłki i otwieramy przed kobietą szkoły uczące wszelkich zawodów nie wyłączając specjalności technicznych. I nagle, w planach zakładamy, że wysoko wyspecjalizowany technik w spódnicy zrezygnuje ze swojej samodzielności zawodowej i pójdzie do kuchni piec kotlety. Coś tu chyba w tych prognozach nie jest w porządku...

Wspomniane dwie sprawy to jednak mimo wszystko margines, bo Sesja ujawniła bardziej ważny dla regionu łódzkiego problem. Chodzi nam o to, że w wielu wystąpieniach, a nawet przygotowanych na sesję propozycjach rozumowanie było następujące: jeżeli rozwój przemysłu łódzkiego — to tylko w Łodzi, w Łodzi niejako zawieszonej w próżni bez uwzględnienia tych samych zjawisk i współzależności, jakie mają miejsce na terenie województwa. A przecież to kapitalny problem dający szanse miastu „wyrzucenia" poza jego teren wielu zakładów, rozgęszczenia obecnego „city", a równocześnie dający taką samą szansę województwu poprzez odpowiednie wykształcenie strefy podmiejskiej ludnej i przydatnej pod względem gospodarczym. Korzyści są przecież obopólne i interesy są obopólne. Łódź potrzebuje np. wielkich terenów rekreacyjno-wypoczynkowych, których do tej pory nie posiada. Kto ma je zbudować — Łódź czy województwo? Nie ma na ten temat wyrobionego poglądu. A przecież to wspólny interes: dla Łodzi znaczy to „płuca", wypoczynek dla tysięcy, ludzi pracujących w wielkim przemyśle, dla województwa to aktywizacja zaniedbanych terenów, przepompowanie wielu milionów złotych w formie usług turystycznych, kulturalnych, gastronomicznych.

Inna sprawa — woda. Nawet druga nitka z Pilicy nie wystarczy. Ale jeżeli przyjdzie Bełchatów, to nic nie jest w stanie zapobiec katastrofie wodnej regionu łódzkiego. Oczywiście — o ile znowu wspólnym wysiłkiem nie będą zrealizowane WSPÓLNE plany i zamierzenia radykalnie odsuwające od regionu łódzkiego widmo „wielkiego pragnienia".

Nie bez kozery używamy tutaj sformułowania „region łódzki". Chcemy przez to podkreślić wspólnotę interesów Łodzi i województwa, potrzebę odejścia od partykularyzmu mającego wiele wspólnego z „przesławnymi wojnami" o miedzę, czy też o „powiat", typu sporów Brzeziny — Koluszki, Pajęczno — Działoszyn, które tak wiele szkód już wyrządziły. Dla usprawiedliwienia dodajmy, że to nie tylko przywilej Ziemi Łódzkiej, choćby uwzględniając spory warszawian z mieszkańcami Krakowa o... stolicę.

Ale rzecz jest zbyt poważna, by takie spory mogły przekreślać piękne zamierzenia i możliwości rozwoju, by mogły kłaść na łopatki wielką szansę ziemi, która leży w środku Polski i dziesiątkami nici jest związana z całokształtem gospodarki kraju. Wzmożenie tej koordynacji, zniesienie sztucznych barier na pewno przyczyniłoby się do umocnienia tych nici i dało jeszcze jedną wielką szansę Ziemi Łódzkiej.

JULIAN BRYSZ

KRZYSZTOF POGORZELEC

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

PROSTE UCZUCIA

Jan Koprowski

Z dwudziestu siedmiu opowiadań w nowym tomie prozy Jana Koprowskiego „Było to w marcu" *), który zaprezentowało nam Wydawnictwo Łódzkie, piętnaście utworów co najmniej obraca się w kręgu spraw rodzinnych, na co wskazują również tytuły: „Ojciec", „Matka", Śmierć dziadka", „Dom", „Wesele Franka" i inne.

Wszystkie opowiadania były pisane w latach 1946—1961. Wystarczy przypomnieć, że pierwsza powieść Jana Koprowskiego „Opowieść o moim ojcu" także ma za treść sprawy rodzinne, żeby zdać sobie sprawę z pozornej obsesjonalności tematycznej dręczącej pisarza od wielu lat. Napisałem „pozornej" i wrócę jeszcze do tego zagadnienia, przedtem jednak należy odnotować niezwykłą komunikatywność tych małych opowiadań. Koprowski posiada rzadką zdolność nawiązywania przyjacielskiego kontaktu ze słuchaczami i czytelnikami. Prostym słowem autora zostajemy od razu wprowadzeni w świat myśli, uczuć i marzeń jego bohaterów. Obojętność ludzi i tak zwanego „świata" na rozpacz ojca, błądzącego po mieście w poszukiwaniu syna, który zawiódł nadzieje ojcowskie i raz po raz ucieka ze szkoły, poczucie obcości i samotności („Nigdy jeszcze miasto nie wydało mi się tak obce"), smutek z powodu różnic, dzielących rodziców i dzieci, niemożność porozumienia się i znalezienia wspólnego języka między ojcem a synem, matka a dzieckiem, tęsknota przesiedleńca za rodzinną wioską — oto proste uczucia, znane wszystkim, które składają się na osnowę fabularną książki Jana Koprowskiego. Oprócz tego liryzm i smutek spraw nieuniknionych, melancholia przemijania, wszystko to nadaje tomikowi „Było to w marcu" jednolitą atmosferę, która wzbudza zaufanie i życzliwość do autora.

Czasem zatrzymujemy się z lekką obawą przed uproszczeniem: „— Mówiliście, że drzewa tam (za granicą — dop. mój Wł. R.) takie same jak tutaj. Że tak samo orzą, że ludzie nie inni i kościoły pewnie takie same. To czego on tam szuka? Czemu nie wraca? Tu jest przecie cały świat. Gdzie on taki chleb znajdzie jak u nas? Taki dom, podwórko, ogród? Czemuście mu nie wbijali w łeb, żeby tamto wszystko porzucił? Czemuście z nim razem nie przyjechali? Po co jemu Francja, Ameryka? Po co jemu Francuzka? Mało to tutaj dziewuch? Myślicie, że on nie będzie tego żałował? Co on tam w tym świecie znajdzie? Dlaczego on tam siedzi? Dlaczego?"

Ale, po pierwsze, to mówi Kowalski, a więc już wszystko wiadomo! Po wtóre, nie można oprzeć się urodzie tych prostych słów prostego człowieka, rozumującego z naiwną prostotą chłopa.

Niektóre z małych opowiadań w zbiorku („Historia jakich wiele", „Warunki" i inne) sprawiają wrażenie szkiców powieściowych, których tematyka i realia wystarczyłyby co najmniej na mikropowieść. Nasuwa się refleksja, dlaczego autor, znany z licznych kontaktów w kraju i za granicą i posiadający duży zasób doświadczenia i wiedzy życiowej, nie wypowiedział się w bardziej rozwiniętej, epickiej formie, ograniczając się do lirycznych obrazków.

I tutaj kończą się zastrzeżenia, a zaczynają się — poszukiwania, próba wyśledzenia kompleksu autorskiego, który ukrywa się pod pozorami obsesjonalnego rodzinnego tematu. Sprawa wyda się jasna, jeżeli przyjąć, że wiedza autorska Jana Koprowskiego nie ogranicza się do świadomości bohatera (Kowalskiego i innych). A tylko takie założenie może być kluczem do zrozumienia intencji autorskich, zwłaszcza, jeżeli mieć na uwadze, że pisarz po wielokrotnym pobycie w Niemczech wyniósł stamtąd wiadomość Heideggerowskiej myśli egzystencjalnej. Bowiem tylko Heideggerowskim „źródłem trwogi" można wytłumaczyć sens najlepszej moim zdaniem nowelki o „Szczegielniakowej", której życie odsłoniło marność wszystkiego i niepewność wszystkiego z wyjątkiem śmierci: „Czasami, jak tak leżę w nocy na łóżku, to nic, tylko myślę, żeby już rano nie wstać, żeby usnąć i nigdy się już nie obudzić... To wracam i męczę się, i umrzeć nie mogę". Na tym właśnie polega zasada Heideggerowskiej „egzystencji autentycznej", żeby widzieć i oceniać własne życie z perspektywy nicości, podczas gdy „egzystencja nie autentyczna" ma być ucieczką człowieka od prawdy o samym sobie. Nie poprzestając na tym jednym przykładzie można mnożyć inne: „Człowiek jest niby taki, a w gruncie rzeczy inny", powiada bohater opowiadania „Ojciec". „... dla Boronia była to sprawa wielka i ważna, i gdy tego wieczoru położył się spać, słyszał jak na cmentarzu szumią brzozy" („Warunki"). Jeżeli dodać do wyraźnych wpływów filozofa egzystencjalistycznego opowieść o wyobcowanym „Antonim", to można tylko umocnić się w przeświadczeniu, że ponad świadomością bohaterów opowiadań „Było to w marcu" góruje wiedza autora, nawet jeśli ta wiedza kieruje podświadomie ręką pisarza.

*) Jan Koprowski „Było to w marcu", Wyd. Łódzkie 1962 r.

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

WŁAŚCIWE DAĆ NAZWISKO

Wystarczy żywe zobaczyć,
właściwe dać mu nazwisko:
i w tym jest cała poezja,
i to jest wszystko.

Tak dwadzieścia pięć lat temu zakończył Marian Piechal „Rozmowę poetów", zadedykowaną — rzecz charakterystyczna — „Julianowi Tuwimowi w dowód głębokiej czci". W poezji autora „Elegii całopalnych" znaleźć można wprawdzie wiele strof podobnie na kształt aforyzmu, określających ideowo artystyczną koncepcję jego twórczości, ale ów cytat, jak i cały zresztą wiersz, zdaje się brzmieć wyjątkowo znamiennie. Poeta, „zabłąkany w kabale ulic", szuka w chaosie miasta prostoty przeżycia, które — oblepione wierszem jak miąższ drzewa korą — nadaje właściwe, odpowiednie nazwisko prawdzie. Słowo „prawda" dopowiadam nie bez przyczyny: jest ona bowiem pryncypium, ukrywającym się w podtekście „Rozmowy poetów", które kształtuje porządek filozoficzny całej twórczości Piechala od „Krzyku z miasta" (1929) do „Małp — kąpieli" (1961).

Trzydzieści dwa lata pisarstwa wśród rozgwaru najprzeróżniejszych programów i mód literackich, debiut w szczególnie obfitującym w artystowskie rozhowory i kłótnie momencie dwudziestolecia, chętne korzystanie autora „Rzeczy słowiczej" z bogatych asortymentem narzędzi, technik, wyposażeń poetyckiego warsztatu — wszystko to przedkłada trudną do odpędzenia pokusę zaplątania twórczości Piechala w subtelną, pajęczo pracowitą krzyżujących się i nakładających na siebie wpływów, filiacji, zależności — nie tylko literackiej natury. Zwłaszcza, że kronikarz „Godzin nieśmiertelnych" uciekał z najchętniej uczęszczanych literackich szkół, nie nazywał się — co więcej: n i e b y ł — ani skamandrytą, ani awangardzistą, ani różewiczoidem, wydeptywał uparcie własne ścieżki obok, a niekiedy i w poprzek wytartych koniunkturą traktów pisarskich. Piechal nie cofał się zatem przed społecznikowskim żartem „Garści popiołu", wśród powszechnego cyzelowania lirycznych cacek nie wstydził się patosu „Elegii całopalnych" a w momencie nadużywania generaliów, schematów ideowo artystycznych odważył się podjąć własną „Rzecz słowiczą", wypowiedzieć prywatną „Mowę milczenia".

Może więc — odpychając pokusę uczonej wpływologii i polonistycznego komparatyzmu — zamknąć oryginalność pisarza w kręgłym ogólniku poetyckiej przekory, nie mniej łatwego od miękkiej uległości programom i autorytetom lirycznego, bądź satyrycznego warcholstwa? Takim chętkom staje jednak kością w gardle modelujący uparcie frazę, narrację, nawet metafory i epitety pryncypializm Piechala, jego nie do stłumienia pragnienie, aby dawać odpowiednie, wiarogodne autentycznością, nazwisko każdemu ułamkowi rzeczywistości. Stara jak literatura opozycja „poeta i świat", a raczej (ten wariant bodaj trafniej oddaje specyfikę Piechalowej twórczości) „poeta i człowiek" ożywa i obrasta, konkretyzacjami w każdej książce łódzkiego pisarza od „Krzyku z miasta" do „Mowy milczenia".

Określenie „łódzki pisarz" nie jest w przypadku autora „Elegii całopalnych" konwencjonalną etykietką, przyporządkowującą go automatycznie do miejsca zamieszkania, wskazującą — że się tak wyrażę — geograficzną otoczkę literackiej twórczości. Nie bez przyczyny przecież na każdym tomiku Piechala znać wyraźnie ciśnienie właśnie łódzkiego skupiska robotniczego. Odważę się nawet na sugestię, że to właśnie Łodzi zawdzięcza twórca „Krzyku z miasta" społecznikowską tendencję swojej liryki — jest to bowiem społecznikostwo trzeźwe i rozumne, krojone na miarę wymagań i ocen ludowego rozsądku, z którym jawnie już się liczy wyraźnie plebejsko skoligacona satyra Piechala. Z Łodzi również czerpie poeta charakterystyczny (zwłaszcza dla wcześniejszych momentów jego twórczości) „wątek urbanistyczny", zasłuchanie się w gwar i rytm wielkiego miasta.

Takie zamiłowania mają jednak u Piechala jeszcze inną, z pozoru wyłącznie literacką, inspirację, czerpaną przez poetę z dziedzictwa romantyków. Ale romantyzm autora „Rzeczy słowiczej", naglący go przede wszystkim do odczytywania świata i ludzi — jak wyznaje w jednym z najwcześniejszych wierszy — przez pryzmat serca, jest bardzo specyficznego kalibru, nie na darmo bowiem najciekawsze krytycznie szkice pisarza są komentarzami, glossami do publikacji Norwida i o Norwidzie. Piechal, przejmując od romantyków żarliwość angażowania się w czło wiecze sprawy, wypowiada wzruszenia spokojną formułą poetycką, poddaje tkankę liryczną rygorom nie lękającego się pryncypiów porządku filozofii moralnej.

Gdybym bowiem kusił się o najbardziej lapidarny epitet dla sylwetki literackiej Piechala — wybrałbym bez wahania autorowi „Mowy milczenia" przydomek (nie etykietkę!) poety — moralisty. Jednak — nie moralizatora: nawet satyry „Diabła za skórą" i „Małp w kąpieli" wolne są na ogół od zasuszonego w łatwych schematach naiwnie pedagogicznego, belferskiego dydaktyzmu. Moralizm Piechala — to właśnie trud odpowiedzialnego etycznie nadawania rzeczom, zdarzeniom, ludziom, trafnie przylegających nazwisk, które ukonkretniają się zarówno w protokole najbardziej intymnych, osobistych przeżyć, jak i w omal historiozoficznych próbach syntezy, zapisanych w „Elegiach całopalnych".

Nie wywalczą moich prawd
armaty,
prawd, dźwiękami
układanych w wiersze.
Z życia życiem aż do tchu
utraty
wyprowadzą je melodie
coraz szersze.

„Melodie coraz szersze" — to określenie wyjątkowo zwarcie i plastycznie oddaje rozwój instrumentu poetyckiego Piechala. Instrumentu — bardzo ostrożnie wzbogacającego obraną już w „Krzyku z miasta" strukturę o nowe elementy. Piechal nie lubi płytkiego rozlewiska metafor, wzdraga się przed misternie, a trudno zawikłaną symboliką. Jego wiersz jest na oko tradycyjny, zastyga w używanych od wieków formach stroficznych i wersyfikacyjnych, przedkłada jasność wypowiedzi poetyckiej nad skomplikowany szyfr. Poezja twórcy „Elegii całopalnych" jest komunikatywna nie z dydaktycznej, pedagogicznej zasady, lecz z zrozumnej, wypróbowanej czasem, artystycznej praktyki. Jest więc poezją dla czytelnika, jak chciał tego w swoim rymowanym postulacie Słonimski, ale bez sekciarskiego zacietrzewienia.

W tym, co dotąd napisałem znajdzie czytelnik ton jakiejś rehabilitacji pisarstwa Mariana Piechala. Nie kryję tego całkiem świadomego zamiaru, wywołanego milczeniem krytyki, zwłaszcza po wojnie, szczególnie w ostatnich latach, wokół jego twórczości. Trudno dociec wszystkich przyczyn takiego milczenia, jednakże jednym z głównych jego powodów wydaje się (przynajmniej w moim przekonaniu) pisarska wędrówka Piechala stale pod prąd programów, konwencji, schematów literackich i nie tylko literackich

Rozstrzygnięcie Konkursu Literackiego

Ostatnio rozstrzygnięto Konkurs Literacki, zorganizowany z okazji Roku Ziemi Kieleckiej przez grupę literacką „Ponidzie", Wydawnictwo Łódzkie, Wydział Kultury Prez. WRN w Kielcach, kielecki Oddział SDP i „Magazyn Niedzielny" „Słowa Ludu".

W dziale poezji nie przyznano pierwszej nagrody, drugą nagrodę uzyskał Wiesław Rusteckl za poemat pt. „Sandomierz", trzy równorzędne trzecie nagrody przyznano Janowi Golce za poemat „Warkocz", Andrzejowi K. Waśkiewiczowi za utwór pt. „Miejsca opuszczone" i Marianowi Grześczakowi za wiersz pt. „W strefie Gór Świętokrzyskich". Ponadto przyznano pięć wyróżnień.

Nagrodę pierwszą w dziale prozy przyznano Irenie Dudek za opowiadanie pt. „Jak na Zawiszy", drugą nagrodę uzyskał Janusz Roszko za reportaż pt. „Bohater naszych czasów", trzy trzecie nagrody uzyskali: Tadeusz Ziemecki za reportaż „Ziemia ambicji i biedy", Stanisław Gleń za reportaż pt. „Miasteczko", i Bolesław Juchniewicz za opowiadanie „Oskarżony przyznaje się do winy". Przyznano też osiem wyróżnień.

Na konkurs wpłynęło ponad 200 prac.

HENRYK DINTER

WYŁĄCZNIE DLA SIEDEMNASTOLATKÓW
albo nieco starszych, lub nieco młodszych

Będzie tu mowa o pewnej propozycji. Nim do niej przejdę, opowiem skąd się wzięła, gdyż to ma dla sprawy podstawowe znaczenie.

Po prostu przyszła do redakcji „Odgłosów" grupka licealistów. Opowiedzieli, że stanowią w swej szkole koło dyskusyjne, często rozważają zagadnienia swojego pokolenia i w wyniku ostatnich dyskusji przynieśli maszynopis.

„Chcemy napisać o szkole widzianej oczyma nastolatków... Niech będzie to nasz głos w sprawie reformy szkolnej o której dotychczas pisaliście Wy — starsi" — Taki był wstęp.

Dalej następowały uwagi o tym jaki powinien być stosunek nauczyciela do uczniów, uwagi powszechnie podzielane i nie wnoszące nic nowego.

Ale jak obuchem uderzyło mnie następujące sformułowanie: *Kiedy myślę o stosunku: ja i nauczyciel, widzę natychmiast olbrzymią ladę sklepową, za którą z jednej strony stoimy my — uczniowie, z drugiej Wy — nauczyciele. Podajecie nam niechętnie skrzywieni paczki z napisem „Historia", „Fizyka", „Biologia" itp.*

Sprzedawcy są zmęczeni i znużeni, kupujący tylko znudzeni".

Powtarzam — słowa te uderzyły mnie obuchem. Trudno było uwierzyć, że młodzież może w taki sposób oceniać ogólnie znane i naprawdę pełne trudu poświęcanie nauczycielstwa. Nie chciało pomieścić mi się w głowie, aby nasza szkoła mogła tak wyglądać w oczach uczniowskich, ta szkoła właśnie, z którą naród wiąże swoje nadzieje na przyszłość.

Nasuwały się rozważania: Może ta wypowiedź to jedynie jakaś indywidualna i wyjątkowa impresja?

— Nie. Maszynopis oddawało kilkoro, rzecz była dyskutowana, tę opinię podzielała grupa, być może i cała klasa, czy jej większość.

Może to czymś osobistym podszyta złośliwość tej grupy, może rozrabiactwo i swoiste szukanie porachunków ze szkołą?

— Także nie. Licealiści uczą się dobrze, nie sprawiają na pozór kłopotów, ujęli sprawę ogólnie, nie podali żadnych szczegółów świadczących o rozrabiactwie i porachunkach. Uniknęli nawet danych, które by pozwoliły zidentyfikować szkołę. A takie np. zdanie w maszynopisie: — *„Zapomniano, że potrafimy stać się współgospodarzami szkoły, jak to ma miejsce w niektórych szkołach, że potrafimy być odpowiedzialni za to czego podjęliśmy się wykonać"* — albo zdanie podane w zakończeniu maszynopisu — *„Negujemy i buntujemy się przeciwko otrzymanemu dziedzictwu: bankructwo ideału, brak poczucia obowiązku, partactwo, egoizm, wygodnictwo"* — świadczą chyba o pozytywnych zamierzeniach tej grupy młodzieży.

— A zatem — jak wypada sądzić — te gorzkie słowa i zdumiewające osądy musiały młodzieży tej niewątpliwie nasunąć jakieś niefortunne doświadczenia związane z własną szkołą, zapewne jakieś zaistniałe błędy dydaktyczno-wychowawcze, a młodzież, z właściwą sobie żywością i związaną z nią skłonnością do przesady, uogólniła sprawę. A na tak przesadne uogólnienie musiały mieć wpływ i czynniki emocjonalne. Świadczy o tym porównanie z ladą. Wszakże krytyka naszego handlu często podkreśla, że sprzedawcy odgrodzeni ladą od klienta, nie chcą z nim rozmawiać o jego potrzebach, i że ta postawa sprzedawcy drażni i denerwuje. Ci licealiści, także zdają się wyrażać podrażnienie z tych samych powodów. Przejawia się to także w użytym akcencie: „my — uczniowie, wy — nauczyciele".

Właśnie użyte „my i wy" w sensie dwu sprzecznych racji zmusza do oderwania myśli od tych licealistów, a skierowanie jej ku szerszemu zagadnieniu.

„My — młodzi, wy — starzy" — słyszy się dziś często. Linia takiego podziału przebiega nie tylko przez szkołę, rozciąga się również na rodziny i zaznacza się niekiedy w organizacjach społeczno - wychowawczych. A wszędzie gdzie przebiega tam są konflikty — nieraz bardzo ostre i wszędzie tam występuje przesadny krytycyzm, pogłębiający jeszcze bardziej te konflikty.

Dla wyników wychowania i kształcenia nie jest wcale obojętny stosunek dziecka do rodziców i ucznia do nauczyciela, czy szkoły. Wiadomo, że dobre wyniki wychowania zależą przede wszystkim nie tylko nawet od dobrego wzajemnego rozumienia się wychowawcy i wychowanka, ale i od uznawania autorytetu wychowujących przez wychowywanych. Konflikty odsuwają obie te strony od siebie. I wtedy młodzież — bardziej skłonna do podrażnień i działania w afekcie — buntuje się, źle ocenia, przesadnie krytykuje. Ale też młodzież wtedy męczy się, gdyż jest przekonana o racjach, których nikt wysłuchać nie chce.

Nawet z cytowanych wyjątków maszynopisu widać obok krytyki, chęć wydobycia się z męczącej sytuacji, chęć pozytywnego działania.

Co więc czynić, jak likwidować takie sytuacje? Czy może, jak uważają niektórzy, uderzyć pięścią w stół i sprowadzić całe zagadnienie do wydanego polecenia — „słuchać i uczyć się! Nie macie nic do gadania!"

— Nie, takie „załatwienie" tych konfliktów byłoby bez sensu. Ktoś już próbował podobnych argumentów w stosunku do naszych licealistów i osiągnął taki skutek, że napisali: *„Bardzo smutne jest, kiedy mając 17 lat trzeba powiedzieć: uczciwość i odwaga nie popłaca"*.

Stosunki współczesne dużo wcześniej dzisiaj niż dawniej rozwijają w człowieku świadomość społeczną. Młodzież zaś, która na lekcjach historii, czy literatury zresztą nie tylko na tych lekcjach powinna być wdrażana do krytycznej oceny przeszłych stosunków społecznych, ma również prawo do krytycznego patrzenia na przejawy współczesnego życia. Takiego prawa nie można jej odmawiać, idzie jednak o to, by spostrzeżenia młodych ludzi nie ulegały aberacji przez przypadkowo dobrane okulary. Trzeba powodować, aby sami uczyli się dobierać sobie szkła, co nastąpić może tylko wtedy, gdy szczerze będą mówili co i jak widzą, gdy starsi będą brać poważnie ich próby rozglądania się i będą życzliwie wskazywać ewentualne błędy oraz udzielać zachęty do dalszych i głębszych obserwacji.

Słuszne też jest, aby pobudzać młodzież do myślenia i wyobrażeń nad przetwarzaniem otaczającej rzeczywistości w imię wyznawanych przez nią ideałów.

Licealiści, którzy przyszli do „Odgłosów" obrali — jak sądzę — dobrą drogę, łamy prasowe mogą być doskonale wyzyskane do wypowiedzi i dyskusji młodzieży, a co za tym idzie, i do samodokonywania się korekty w ich patrzeniu na świat. Wysoko cenił tę formę pracy wychowawczej Janusz Korczak. Pisał on już przed czterdziestu laty: *„Wierzę mocno w potrzebę pism dla dzieci i młodzieży, ale takich pism, których współpracownikami będą one same, które by poruszały tematy ważne i ciekawe..."* I on też w roku 1926 założył przy wielkim i poczytnym warszawskim dzienniku „Nasz Przegląd" dodatek tygodniowy „Mały Przegląd", do którego pisywała młodzież. We wstępie do pierwszego numeru pisał Korczak: *„Pismo będzie rozważało wszystkie sprawy uczniów i szkół..."* „Mały Przegląd" rozrósł się z czasem w duży organ i wychodził do wybuchu wojny, chociaż sam Korczak dużo wcześniej pismo opuścił. Gazeta bardzo była pomocną młodzieży i szkołom. W piśmie tym rozpoczął swoją pracę pisarską Igor Neverly, który przy Korczaku, jeszcze jako młodzieniec był sekretarzem redakcji a później redaktorem.

Otóż redakcja „Odgłosów" skłonna jest udostępnić swoje łamy młodzieży szkolnej dla swobodnych wypowiedzi, dyskusji, czy nawet udzielania porad. Jest skłonna pod określonymi warunkami.

Wypowiedzi i głosy dyskusyjne muszą być szczere, przemyślane i pisane w przekonaniu, że będą ważne oraz zainteresują innych. Trudno, rzecz prosta, sugerować tematy, przecież w szkole podpowiadać nie wolno, mówimy więc niezobowiązująco: piszcie jak rozumiecie swoją rolę w społeczeństwie już dziś, na szkolnej ławie, jak proponujecie wyrażać swoją dojrzałość, czego byście chcieli, kto wam przeszkadza? Czy uważacie, że jesteście przygotowani do życia, znacie je wystarczająco, aby skutecznie zmieniać stosunki na lepsze? Bardzo pożądane będą materiały przedyskutowane w kołach dyskusyjnych.

Redakcja zastrzega sobie — jak zawsze w takich wypadkach — prawo wyboru do druku w całości lub w części, albo też rezygnację z przysłanego przez autora materiału. Chcielibyśmy publikować tylko te materiały, które z uwagi na formę i treść warte będą papieru i trudu drukarzy.

O porady i zapytania można się zwracać w każdej sprawie, odpowiedzi będą drukowane lub wysyłane listownie.

Będziemy przeciwni drukowi jakiegokolwiek oskarżenia, oczerniania szkoły i osób oraz tzw. rozrabiactwa. Próby tego rodzaju pozostaną bez odpowiedzi, a materiał powędruje do kosza.

Piszący musi się podpisać i podać swój adres, a jeśli pragnie, aby druk lub odpowiedź były umieszczone pod pseudonimem — musi to wyraźnie zaznaczyć i podać pseudonim. Redakcja na żądanie zachowa ścisłą tajemnicę tego, co sobie autor zastrzeże.

A zatem pragniemy umożliwić młodzieży wypowiadanie się, dyskutowanie, zasięganie porad i kierowanie pytań. Dodajemy w zaufaniu, że jeśli nasza współpraca ułoży się dobrze, zaistnieje — być może — realna szansa powołania do życia ściśle młodzieżowej, ogólnołódzkiej trybuny. Warto wykazać ambicję w tym kierunku.

Do następnego numeru, ponieważ materiał jeszcze nie zdąży nadejść od ewentualnych autorów (cykl wydawniczy trwa dwa tygodnie), redakcja przygotuje artykuł rozważający czy słuszny jest podział na obozy „my i wy" oraz jak należy rozumieć dorosłość. Może na te tematy znajdą się dyskutanci?

---

sedno rzeczy

MARIAN PIECHAL

SPIRYTUS i PATRIOTYZM

W tak zwanym „pijackim widzie" ludzie wypowiadają rzeczy, których nigdy nie usłyszelibyśmy od nich w stanie trzeźwym. Powstaje pytanie, czy wszystko, co ludzie wypowiadają w stanie nietrzeźwym, nie ma żadnego sensu i jest zwykłym bredzeniem? Sądzę, że takie postawienie sprawy nie miałoby właśnie sensu. Bowiem często jedynie-li tylko w stanie nietrzeźwym pewni ludzie i w pewnych okolicznościach wypowiadają rzeczy istotne i z sensem. Tak, że nie zawsze człowiek „pod muchą" czy „pod dobrą datą" musi koniecznie bredzić — on wtedy dopiero zdobywa się na minimum niezbędnej śmiałości czy odwagi, ażeby wypowiadać szczerze, co właściwie myśli, sądzi lub odczuwa. Rzecz to dobrze znana, nie tylko z praktyki zakładów psychiatrycznych, wszelkiego rodzaju domów poprawczych, izb wytrzeźwień, organów bezpieczeństwa publicznego i urzędów śledczych, ale i z potocznego życia.

Można by napisać osobną rozprawę na temat alkoholizmu i tzw. „odwagi". Dlaczego w cudzysłowie? Bo tylko odwaga trzeźwa, odwaga bez sztucznej podniety jest godną swej nazwy, zaś ta związana ze sztuczną podnietą jaką wywołuje alkohol jest tylko pozorem odwagi. Czy jednak w zupełności pozorem odwagi? Znane jest u nas, i nawet bardzo popularne, żartobliwe powiedzonko rosyjskie, że pewnych trudnych lub nagłych spraw „bez wodki nie razbieriosz". Znany jest również powszechnie fakt, że we wszystkich armiach świata przed szczególnie trudnym lub ryzykownym atakiem podniecano odwagę szturmujących oddziałów odpowiednimi porcjami alkoholu. I bywały wypadki, znane nie tylko poszczególnym dowódcom, ale i historykom sławnych bitew i głośnych kampanii, że doraźna podnieta w kierunku odwagi i zapału patriotycznego wywołana alkoholem bywała nieraz bardziej skuteczna, niż najbardziej wzniosła i patetyczna przemowa dowódcy.

Oczywiście, nie znaczy to wcale, ażeby alkohol miał rodzić odwagę i zapał patriotyczny w jednostkach, które tej odwagi i tego zapału na trzeźwo w sobie nie odczuwają. W tchórzu z urodzenia alkohol może wyzwolić jedynie tylko jeszcze większe tchórzostwo. Alkohol jako narkotyk wyzwala z człowieka tylko to, co w nim jest i obnaża właściwą jego naturę: z odważnego odwagę, z tchórza tchórzostwo.

Ale czy z mądrego mądrość? A z godnego godność? Nietrudno na to odpowiedzieć: mądrość mądrego, a godność godnego na tym właśnie polegają, że nie potrzebują alkoholu, ażeby się objawić. To nie znaczy wcale, jakoby mądrzy i godni ludzie mieli z zasady stronić od alkoholu. Sokrates był mądry i godny, ale bynajmniej nie był abstynentem. Różnica zaś pomiędzy Sokratesem czyli człowiekiem mądrym i godnym, a zwykłym pijakiem polega na tym, że mądry i godny panuje nad alkoholem, a pijak nie panuje — przeciwnie — alkohol panuje nad nim. Czyli, że mądry i godny nie upije się nigdy do tego stopnia, żeby przestać być mądrym i stracić poczucie godności — raczej przestaje pić, aby nie zatracić tego poczucia czyli świadomego panowania nad sobą.

W tym miejscu ktoś może przerwać autorowi i powiedzieć: co tam mówić o „panowaniu nad sobą", skoro pijaństwo to nałóg, a nałóg to choroba, która poraża wolę. Czyżby? Zanim przecież porazi wolę musi ten nałóg długo być hodowany, podobnie jak na przykład hodowany jest kołtun. Kołtuna dostaje się wskutek dobrowolnego zapuszczenia go sobie — podobnie popada się w nałóg. Kto nie chce, nie popadnie w nałóg, bowiem ani kołtun, ani żaden nałóg nie jest chorobą zakaźną. Zarówno za kołtun, jak i za nałóg pijaństwa nie może zwalać winy na kogo innego. Te choroby, które nie są — powtarzam — chorobami zakaźnymi, są wyłącznie naszą własną winą, wskutek naszego zewnętrznego lub wewnętrznego niechlujstwa. Za niechlujstwo czy to zewnętrzne, czy wewnętrzne odpowiedzialny jest każdy z nas sam za siebie. Za zapuszczenie sobie kołtuna czy jakiegokolwiek nałogu, zwłaszcza pijaństwa, nikt za nas nie może być odpowiedzialny, prócz nas samych. Niektórzy zwalają winę na warunki. Nie ma dziś już nigdzie w cywilizowanym świecie takich warunków, które zmuszałyby człowieka do nadmiaru picia i niedomiaru mycia.

Kapitalnego dowodu na to, że żadnego nałogu ludzkiego, a zwłaszcza pijaństwa, nie można tłumaczyć warunkami zewnętrznymi, dostarczył mi pewien znajomy. Zapytał mnie kiedyś: „Proszę pana, czym to wytłumaczyć, że w naszym kraju ustrój się zmienił, a pijaństwo nie?" Kiedym się namyślał, co mu na to odpowiedzieć, ciągnął dalej: „Przed pierwszą wojną światową w okresie niewoli ludzie pili bądź dla zalania robaka rozpaczy, bądź też dla dodania sobie animuszu w walce z wrogiem, a mówiąc żartem — wzrost spożycia alkoholu mógł być czasem wyrazem wzrostu poczucia narodowego. W okresie dwudziestolecia niepodległości państwowej pito jednak tak samo i w nie mniejszej ilości, tłumacząc to znowu bądź radością z odzyskania własnej państwowości, bądź protestem przeciwko nierównościom klasowym ówczesnego ustroju. Teraz ustrój się zmienił, nierówności klasowe znikły, a pijaństwo pozostało. Cóż pan na to?"

Odpowiedziałem na to, że widocznie pijaństwo to rzecz nie ustroju społecznego, lecz natury ludzkiej. Wprawdzie ustrój społeczny zmienia naturę ludzką i nawet jest to głównym jego zadaniem, ale proces ten zachodzi z różnych zewnętrznych i wewnętrznych przyczyn tak powoli, że w ciągu jednego pokolenia prawie niezauważalnie. Zresztą nie przebiega on nigdy gładką i równą linią wzwyż, ale zawsze nierówną i zygzakowatą, często z nawrotami wstecz, w zależności od tego, jaką postać przewagi przybiera walka postępu ze wstecznictwem. Dzisiaj spirytus to nie symbol nawet wątpliwego patriotyzmu, lecz wstecznictwa, gdyż jest on środkiem konserwacji starych nałogów myślenia i odczuwania. Tylko człowiek przegrany społecznie i politycznie może w praktyce alkoholizmu dopatrywać się formy patriotycznego protestu. Nic fałszywszego pod słońcem! Bowiem spirytus nie konserwuje, lecz roztapia w sobie i unicestwia wszelki patriotyzm, podobnie jak ocet prawdziwa perłę.

ANDRZEJ OSTOJA

Z notatnika prokuratora

HERSZT *czyli* „CHĘĆ do PISTOLETU"

Wysoki Sądzie!

Wyobraźmy sobie, że jesteśmy przypadkowymi, i pozbawionymi prawa interwencji, świadkami takiej- oto sceny:

Jest mroźny, zimowy wieczór. Ścieżką biegnącą zygzakami od wsi w kierunku szosy idzie wolno człowiek w mundurze milicjanta. Człowiek ten z wysiłkiem pokonuje pochyłość drogi, chwieje się, zatacza, z pewnością jest to człowiek chory, może ranny, a może tylko pijany? Przechodzi powoli obok placu sportowego, gdzie bawi się kilkunastu chłopców. Bystre, czujne oczy obserwują plinie nieznajomego milicjanta. W pewnym momencie funkcjonariusz dochodzi do nasypu obok szosy, słania się i pada bezwładnie na ziemię. Po chwili unosi się, dostaje torsji, po czym opada ponownie na śnieg. Ciało pozostaje bez ruchu. Mijają długie minuty...

Tak, teraz nie ulega już dla nas najmniejszej wątpliwości, że z milicjantem tym dzieje się coś złego, że trzeba mu w jakiś sposób pomóc. Na szczęście zajście widzi prawie cała młodzież wsi. Czekamy co też uczynią. Ci jednak nic nie robią.

Ale oto nadchodzi dwóch starszych młodzieńców. Wraz z całą grupą chłopców zaczynają zbliżać się do milicjanta. Teraz mamy pewność, że funkcjonariusz uzyska potrzebną mu pomoc.

Ale nie. Oto cała grupa zatrzymuje się w odległości 20 kroków od leżącego. Przygląda ją się ciekawie, po czym — rozchodzą się spokojnie do swoich domów!

Trudno dać wiarę temu, co zobaczyliśmy, czekamy więc dalej w przekonaniu, że przecież młodzież zaalarmuje w końcu kogoś ze starszych. Mija jednak jedna godzina, upływa druga... Chcemy wprost wołać: — Ludzie, ratunku! Na pomoc! Człowiek zamarznie pod waszymi oknami!

Ale nie. Milicjant jest uratowany! Oto widzimy sylwetkę mężczyzny zbliżającą się szybko w stronę leżącego.

Dlaczego jednak nieznajomy przemyka się chyłkiem? Dlaczego wolną przestrzeń przebiega skokami? Dlaczego w ręku ściska jakieś podłużne narzędzie?

Już dochodzi. Stanął oto nad leżącym i dłuższą chwilę bacznie mu się przygląda. Wtem podnosi uzbrojoną rękę... Słychać tępy odgłos ciosów... Raz... dwa... trzy...! Napadnięty z jękiem unosi głowę, lecz powala go kolejne uderzenie, celnie wymierzone w samą twarz...

Teraz postać ludzka pochyla się nad ciałem. Sprawne ręce szybko odpinają pochwę pistoletu, sprawca chyłkiem oddala się od ofiary.

* * *

Działo się to wieczorem 18 grudnia 1957 roku we wsi Ryczewo, powiat Słupsk. Sprawcą morderstwa był oskarżony, wówczas blisko 17-letni mieszkaniec wsi Henryk Marian Pokusa — ofiarą — młody plutonowy MO Stanisław Jasiński, ojciec trojga dzieci.

Jakie fakty poprzedziły zbrodnię?

Fakty te są Sądowi znane. Stanisław Jasiński pełnił funkcję milicjanta w posterunku MO Wrzeście, pow. Słupsk. 18 grudnia 1957 roku został wysłany do Ryczewa aby zabezpieczyć listy wyborcze w Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej. Był w prezydium, zajrzał także do Gawłów, którzy kłócili się ze swym sublokatorem. U Gawłów było kilka osób. Gawłowa postawiła na stole litr wódki i zapraszała Jasińskiego do picia. Milicjant odmówił, i tylko w wyniku nalegań ze strony Gawłowej wypił 2 kieliszki, około godziny 19 wyszedł od Gawłów i udał się do kierowcy taksówki Tadeusza Czulczyńskiego, którego prosił, aby go odwiózł do domu. Okazało się jednak, że taksówka jest zepsuta. Jasiński oświadczył, że przystanie na szosie, gdzie zatrzyma pierwszy lepszy przejeżdżający samochód. Jasiński mówił też Czulczyńskiemu, że czuje się bardzo niedobrze, boli go serce i kręci mu się w głowie. Następnie udał się ścieżką przez plac sportowy w kierunku szosy prowadzącej do Główczyc. Nie dochodząc do szosy Jasiński upadł i najprawdopodobniej stracił przytomność. Nie można wykluczyć, iż nastąpiło u niego patologiczne upojenie alkoholem 1). W tym czasie Jasińskiego obserwowali: Eugeniusz Prasałek, Józef Biesiada, Bernard Mińko, Kazimierz Kaługa i inni chłopcy przebywający właśnie na placu sportowym. Po jakimś czasie nadszedł Henryk Pokusa wraz z Mariahem Tollem. Pokusa, widząc leżącego milicjanta już wówczas zaczął rozważać możliwość zabrania mu broni. Wrócił do domu i zaopatrzył się w kawałek deski. Około godziny 21. Pokusa zbliżył się do Jasińskiego, i obserwował go przez parę minut. Uznał, iż milicjant śpi, gdyż oczy miał zamknięte i oddychał miarowo. Wówczas zadał Jasińskiemu deską 3 ciosy w głowę. Jasiński jęcząc uniósł się i wtedy Pokusa powalił go czwartym ciosem w twarz. Zabrał pistolet, nie zapominając także o zapasowym magazynku z amunicją. Pobiegł następnie w kierunku domu Tollów. Pistolet ukrył. Wywołał z domu swoich kolegów Aleksandra i Mariana Tollów. Powiedział im o tym, co zrobił. Pokazywał pistolet. Tollowie pochwalili go. Potem udał się do swego domu. Pistolet schował w stodole. Umył ręce i położył się spać.

Następnego dnia o godzinie 7 rano przechodzący szosą Zdzisław Dobosz zauważył leżące go w kałuży krwi milicjanta. Jasiński jeszcze żył. Został natychmiast przewieziony do szpitala gdzie zmarł w dniu 22. XII. 1957 roku nie odzyskawszy przytomności.

Przesłuchany w charakterze biegłego dr Zbigniew Nerga stwierdził, że Jasiński zmarł w wyniku obrażeń głowy tępym narzędziem. W czasie sekcji zwłok stwierdzono rozległe stłuczenie mózgu i krwotok podoponowy. Ustalono, iż Jasińskiemu zadano 4 ciosy w głowę. Żmudne śledztwo zakończyło się negatywnie. W dniu 2 maja 1958 roku prokurator umorzył postępowanie wobec niewykrycia sprawcy przestępstwa.

Tymczasem w ryczewskich lasach Pokusa, wraz z Tollami, urządzali polowania i strzelali do celu ze zrabowanego pistoletu.

W styczniu 1959 roku wraca z wojska Paweł Toll. Dowiaduje się od braci o wydarzeniach, jakie nastąpiły w czasie jego nieobecności. Paweł Toll informuje o wszystkim czwartego z braci — Kazimierza Tolla, który jest funkcjonariuszem milicji.

14 stycznia 1959 roku Paweł Toll namawia Pokusę, aby poszedł z nim na polowanie. Prowadzi Pokusę tam, gdzie czekają ukryci milicjanci. Pokusa wydobył pistolet. Chciał się bronić. O mały włos nie doszło do nowego rozlewu krwi.

W chwili popełnienia zbrodni Pokusa nie miał jeszcze 17 lat.

Tyle mówią suche fakty odtworzone w toku przewodu sądowego na podstawie zeznań świadków, a w szczególności Pawła, Mariana i Aleksandra Tollów oraz wyjaśnień samego oskarżonego.

* * *

Należy teraz odpowiedzieć na pytanie, co skłoniło Pokusę do tak potwornego czynu. Czy jedynym powodem zbrodni była chęć posiadania broni? Na pytanie to należy odpowiedzieć twierdząco. Sam oskarżony, zarówno w toku śledztwa, jak i

Dalszy ciąg na str. 10

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

PRZYJĘCIE

Naprzeciwko kieliszka i oczu rama okienna. W ramie nowy gmach o gładkich ścianach, takiż kościółek. Przed wojną parter zamieszkiwali zakonnicy, na piętrach mieściła się szkoła. Po wyrzuceniu szkoły i zakonu w gmachu rezydowały jakieś groźne niemieckie instytucje. Teraz zajmuje go wojsko, ale podobno niedługo ma oddać prawym właścicielom. Na razie bernardyni mieszkają w maciupim domku od ulicy. Tu właśnie ojciec Jacek zaprosił nas na „przyjęciny". Przesuwam wzrok od kieliszka ku ramom. Nie podoba mi się tamten koncentrat oschłości, zwłaszcza w półmroku. Półmrok starł z konturów obu budynków wszystko, co nie jest czystą geometrią, nawet krzyż. Za oknem nie ma klasztoru i kościółka — są dwa prostopadłościany: jeden ustawiony na sztorc, drugi leży. Można sądzić, że Nik pozostawił na dworze kilka tych modeli, z jakimi wszyscy matematycy świata wkraczają do klas, niosąc je uroczyście przed sobą na dzienniku jak na tacy.

Po dwóch stronach ramy dwa przeciwstawne nastroje, kontrastowe tonacje barw — butla rubinówki na tym białym obrusie żywo przypomina latarnię magiczną — dwie różne epoki. Nik prezyduje przy stole, czuwa nad tempem spełniania intencji, niestrudzenie opowiada o dawnych zjazdach matematycznych, własnych trofeach miłosnych i sensacjach minionego wieku. W oczach płonie mu maleńki niebieskawy ogieniek. Ojciec Jacek milczy i czujnie nalewa. W jego twarzy pojawił się nowy dla mnie wyraz jakby zuchwałej dzikości. Gdy się go szturchnie oczami, tym razem nie opuszcza powiek, ale odrzuciwszy w tył głowę, odpowiada jakimś, można rzec, wyzywającym spojrzeniem. Ojciec Karol — widzę go pierwszy raz — uśmiecha się jowialnie, właśnie tak jak nakazuje tradycja bernardyńska. Co za szczególna figura ten nasz nauczyciel od rysunków! Nik tytułuje go „prezesem wódeczności". Twarz okrągła, pomarszczona jak jabłko, gdy przeleży w spiżarni. Ale kiedy tak zerka niepewnie i bacznie na tego rosyjskiego oficera zza piętrowego półmiska tartinek, przypomina zająca, co cupnął pod miedzą i przygląda się myśliwemu. Oficer w tym niecodziennym zdawałoby się otoczeniu, nie razi. Jego obecność przy stole należy przecież do żelaznych tradycji zakonu: i ksiądz Robak z Rykowem, i chodźkowski kwestarz z oficerami Kutuzowa. Jajeczne pagony przydają wnętrzu dziewiętnastowiecznego splendoru, Muśnięciem palca zdaje się sprawdzać rezonans swych trzech medali. Zapewne sąsiad z gmachu, domowy gość. Opowiadań Nika słucha z tym charakterystycznym rodzajem rewerencji, z jakim światowiec wysłuchuje światowca.

— Bis repetita, panoczku! — Nik wznosi kieliszek — Zdrowie ojca gwardiana! Po raz który?... Aa... po raz pierwszy. Za to że przez swój wyjazd dopomógł ojcom dobrodziejom... łaknących pocieszyć.

Specyficzny zapach zasiedziałej plebanii. Doniczki świeżo ugarnirowane karbowaną bibułką — dowód omazarności przy stole. — A bronił, pamiętam dobrze, mecenas Kleyna... Tak, Kleyna. To był adwokat! Głos jak armata!...

— Poliaki goworiat obyknowienno: „na zdorowje" — zauważył z namaszczeniem oficer — germancy: „prosit", no my, russkije, postupajem prawilnieje, my goworim: „prosto!"

„Prezes wódeczności" patrzał niepewnie, jak by z grymasu twarzy oficera chciał wyczytać groźny ukryty sens jego słów.

— No amerykańcy, oni niczego nie goworiat, oni tolko pjut — uzupełnił oficer i z triumfem rozejrzał się po naszych twarzach.

— Daj im Boże, panoczku! Puskaj pjut — zgodził się Nik — No, łyktus benedyktus! Zdrowie ojca gwardiana! Po raz który?... Aa... Po raz pierwszy, za to, że przez swój wyjazd... No, ojczulku, cropez vous! — — tym razem przynaglił ojca Karola; lekki szmerek, jaki czułem w głowie od pewnego czasu, ustabilizował się nieco i nie powiększał. — Pamiętam, Macoch siedział cały czas blady, oczy podkrążone. A kiedy to chłopi z Zawady zeznali, jak to znaleźli w rzece tamtą sofę, patrzę... a policjant, znaczy się, rosyjski — stał on przy Macochu z gołą czaszką — obciera oczy rękawem no i płacze...

— Że to pan Nik takie tam stare czasy pamięta — ni to pochwalił, ni dał wyraz zażenowaniu ojciec Jacek.

— Eto wierno polskij wolucjonist? — spytał oficer i kiwnął z aprobatą głową.

Nauczyciel rysunków spojrzawszy bacznie na twarz oficera też kiwnął głową.

— Cożeż ty, panoczku! Eto monach! Żenszczinu on ubił.

Ojciec Karol nachylił się ku mnie, jak by chciał coś powiedzieć, ale tylko podał mi tartinki.

— Czemu ojcowie cmentarz przed kościołem wysypali żużlem? — spytałem z przyganą. — Wygląda jak plac fabryczny. Nawet nie — jak obóz koncentracyjny.

— Nie, my, ojciec gwardian — uśmiechnął się z zakłopotaniem. — Tak się, uważa, lepiej kalkuluje, bo mniej zarasta. My ciągle kalkulujemy — dodał takim tonem, jak by kalkulacja była czymś zdrożnym.

— U nas toże monachi — rzekł oficer. — Oczeń mnogo — uzupełnił. — No oni żenszczin nie ubiwajut, oni gospodu bogu moliatsia. Wy toże molitieś — obrócił się w stronę obu ojców — a nam, komandiram wied, nielzia, potomu czto my w gospoda boga nie wierim, A ja chot i komandir, a wmieste s wami pju, potomu czto wy liudi mirnyje, trudoliubiwyje...

„Prezes wódeczności" słuchał niepewnie z palcami na stopce kieliszka, w miarę opadania kadencji kieliszek podnosił, w miarę wznoszenia się odstawiał na stół...

— Kiedy tu przyjechałem — dobiegł mnie nagle jakby z dużej odległości poufny szept ojca Karola; uśmiechał się teraz inaczej — zerwałem się, jak każe nasza reguła, o czwartej i kłusem do kościoła, na horae cano... jak by to powiedzieć, żeby człowiek świecki... no... na godzinę takiego wewnętrznego skupienia, wspólnych rozmyślań... Czekam kwadrans, godzinę... Ani żywej duszy. Pytam potem gwardiana. „Nie mamy tu czasu — powiedział — na zbijanie bąków"... Więc „nie zbijam"...

Oo, faszysty prokliatyje, oni ubiwali żenszczin! Ja był pozawczera w etom... kak, no... Oswiencimie... Boże sochrani!

Ojciec Jacek skurczył się, jak by mu ktoś głowę wbił w ramiona.

— Boję się o niego — szept mego cicerone, tym razem, jakby tuż nad uchem. Wciąż o tym myśli. Że to

Dalszy ciąg na str. 10

Dalszy ciąg ze str. 9

na rozprawie, wyjaśniał cynicznie: „milicjanta zabiłem dlatego, że miałem chęć do pistoletu". Ta zatem „chęć do pistoletu" przesądziła w konkretnym wypadku o życiu człowieka.

Należy także odpowiedzieć na pytanie, czy oskarżony działał z zamiarem dokonania zabójstwa?

Śledztwo i przewód sądowy nie dostarczyły dowodów, które by przemawiały za tą tezą. Pokusa nie miał najmniejszych powodów natury osobistej, aby targnąć się świadomie na życie Jasińskiego, którego przed tem w ogóle nie znał, nigdy o nim nie słyszał i nie miał z nim żadnych zatargów. Na podkreślenie zasługuje fakt, że oskarżony po zadaniu ofiarze czterech ciosów i zabraniu broni — opuścił miejsce zbrodni nie sprawdzając, czy Jasiński żyje. Gdyby Pokusa chciał zabić milicjanta, powinien sprawdzić, czy mu się to udało. Należy zatem dojść do wniosku, że oskarżony chciał za wszelkę cenę zdobyć pistolet.

Do czego zatem był potrzebny pistolet oskarżonemu, skoro aby go zdobyć posłużył się tak zbrodniczymi środkami. Obrona utrzymuje, że jedyną przyczyną dla której oskarżony chciał zdobyć broń, była chęć „zabawy".

A zatem dla „zabawy" oskarżony uzbroił się w deskę, która stanowiła narzędzie zbrodni; dla „zabawy" skradał się w stronę nieprzytomnego milicjanta unikając spotkań z ludźmi; dla „zabawy" także śmiertelnie ranił człowieka, a potem przez 2 lata ukrywał broń w zabudowaniach swej matki, dla „zabawy" ćwiczył się w strzelaniu do celu.

Obrona zdaje się zapominać o jednym, jakże istotnym dowodzie w tej sprawie. Dowód ten warto przypomnieć. Otóż świadek Aleksander Toll, będący serdecznym przyjacielem oskarżonego, spytał go kiedyś, do czego potrzebny mu pistolet. Pokusa odparł: „niech się tylko zmieni, to ja tu będę hersztem w Ryczewie!".

Kiedy zaś przy innej okazji tenże świadek zadał Pokusie pytanie, co by zrobił, jak by do niego przyszła miłość — otrzymał odpowiedź: „strzelałbym do milicjantów tak długo, aż zostałby mi jeden nabój w lufie dla mnie!"

Tak więc miała wyglądać ta „zabawa" oskarżonego. To marzenia o tym, aby zostać hersztem w Ryczewie pchnęły go do zbrodni; to strzelanie do milicjantów rollo się oskarżonemu. Te właśnie najniższe pobudki kierowały Pokusą, gdy zadawał śmiertelne ciosy Jasińskiemu.

Warto podkreślić, że nie były to wcale czcze przechwałki, gdyż kiedy w dniu 14 stycznia 1959 roku Pokusa został zmierzony przez funkcjonariuszy MO, usiłował wydobyć broń i chciał strzelać; co zostało na szczęście udaremnione.

Poczytalność oskarżonego nie może budzić wątpliwości w świetle opinii biegłych lekarzy-psychiatrów.

Okoliczności towarzyszące przestępstwu każą stwierdzić, iż było ono popełnione z premedytacją i rozeznaniem.

Obywatele Sędziowie!

Henryk Marian Pokusa stoi przed wami pod zarzutem popełnienia dwóch ciężkich zbrodni przewidzianych w art. 2 par. 2 dekretu z dnia 4 marca 1953 roku „o wzmożeniu ochrony własności społecznej" i art. 4 par 1 dekretu z dnia 13 czerwca 1946 roku „o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa".

Oba te czyny zagrożone są ustawowo najwyższą karą — karą śmierci!

Kwalifikacja prawna aktu oskarżenia jest słuszna i zasadna, zaś czyn oskarżonego wyczerpuje dyspozycje wyżej cytowanych przepisów. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż zagarnięty pistolet stanowił własność społeczną, czemu dał wyraz Sąd Najwyższy podkreślając w wyroku z dnia 4. X. 1955 roku, iż „zagarnięcie pistoletu będącego własnością państwową stanowi przestępstwo jednorazowe, skierowane przeciwko własności społecznej, zakończone z chwilą zagarnięcia przez sprawcę pistoletu z amunicją. Z tą chwilą rozpoczyna się inny, odmienny stan przestępstwa trwałego, skierowane go przeciwko bezpieczeństwu publicznemu".

Trzeba także podkreślić, że oskarżony dopuścił się kwalifikowanej postaci przestępstwa z art. 2 par. 2 dekretu z dnia 4. III. 1953 roku, czemu również dał wyraz Sąd Najwyższy w postanowieniu nr 7 z dnia 18. II. 1957 roku, stanowiąc, iż: „kwalifikowana postać przestępstwa z art. 2 par. 2 dekretu z dnia 4. III. 1953 roku o wzmożeniu ochrony własności społecznej zachodzi wtedy tylko, gdy sprawca naraził ofiarę rabunku na utratę życia lub zdrowia".

Obywatele Sędziowie!

Stoi przed wami trudne zadanie wymierzenia kary oskarżonemu. Trudne tym bardziej, że Pokusa w chwili obecnej ma dopiero lat 18, zaś w chwili popełniania zbrodni nie miał lat 17, i gdyby wówczas został ujęty, podlegałby postępowaniu w Sądzie dla Nieletnich i najsurowsza kara jaka mogłaby go spotkać ograniczałaby się do umieszczenia w Domu Poprawczym do ukończenia 21 roku życia.

Rozważając problem kary trzeba zatem szczególnie wnikliwie przeanalizować sylwetkę oskarżonego, jego dotychczasowe życie, środowisko w którym się obracał i wpływy, jakim mógł ulegać.

Analiza taka wypada zdecydowanie na niekorzyść oskarżonego. W wywiadzie milicyjnym sporządzonym w miejscu zamieszkania Pokusy, wspomina się o tym, iż już jako dziecko oskarżony, aczkolwiek był zdolny, wyróżniał się wyjątkowym „nieróbstwem" w wyniku czego przebywał 3 lata w jednej klasie. Demoralizował młodzież szkolną. Po opuszczeniu szkoły wałęsał się nigdzie nie pracując. Nie szanował osób starszych. Wykazywał skłonności do picia alkoholu. Utrzymywał stale kontakty z miejscową chuliganerią.

Opinię tę podtrzymują zeznania wszystkich świadków, a w szczególności przewodniczącego GRN Ryczewo, który stwierdził, iż demoralizujący wpływ na młodzież ze strony Pokusy był tak wielki, że sam postawił wniosek o usunięcie go ze szkoły.

Pobudki, jakimi kierował się oskarżony popełniając zbrodnię były najniższego gatunku, czemu dałem wyraz w swoich dotychczasowych wywodach.

Po spełnieniu przestępstwa oskarżony nie wykazał żadnej skruchy ani żalu. Nie próbował ratować Jasińskiego i zostawił go ciężko rannego, krwawiącego, bez opieki, na mrozie, godząc się tym samym na pewną śmierć ofiary. A przecież biegły, dr Nerga z całą mocą podkreślił, że gdyby od razu udzielono pomocy Jasińskiemu — była pewna szansa na uratowanie mu życia.

Oskarżony nie tylko nie okazywał skruchy, ale na drugi dzień po popełnieniu zbrodni chwalił się w rozmowie z Aleksandrem Tollem, że „uderzyłem milicjanta cztery razy w głowę, aż się echo rozległo(!)", zaś w czasie ujęcia przez organa MO próbował się bronić i wydobył pistolet.

Pokusa przyznał się co prawda do zarzucanych mu czynów, ale uczynił to wobec bezspornych dowodów. Moment szkodliwości społecznej czynów, jakich dopuścił się oskarżony, jest dla każdego oczywisty i szczególnie rażący. Pokusa targnął się na najwyższe dobro, jakie posiada człowiek — targnął się na życie drugiego człowieka. Pod zdradzieckimi ciosami deski gasło jedyne i niepowtarzalne — życie. Pokusę można ukarać, ale nic nie przywróci życia Jasińskiemu, który, jak to wynika ze zgodnych zeznań świadków, był człowiekiem wyjątkowo lubianym, dobrym, cichym i spokojnym. Nic już nie przywróci ojca trojgu osieroconych dzieci. A dlaczego? Dlatego tylko, że Pokusa chciał być „hersztem w Ryczewie"...

Pokusa targnął się także na drugie dobro otoczone szczególną opieką w państwie ludowym — targnął się na własność społeczną, którą zrabował.

Dlatego też najwyższy stopień niebezpieczeństwa społecznego nie może w tym wypadku budzić najmniejszej wątpliwości.

Czyż zatem, oprócz młodego wieku nie można doszukać się żadnych momentów, które by przemawiały na korzyść oskarżonego?

Wysoki Sądzie!

Pominąłbym w swym przemówieniu niezwykle ważną okoliczność, gdybym nie „zwrócił uwagi na środowisko w jakim wzrastał i wychowywał się oskarżony, na te wszystkie momenty, które niewątpliwie kształtowały psychikę rozwijającego się chłopca.

Aczkolwiek ten niecodzienny proces toczy się przeciwko określonej osobie, rzucam w tej chwili oskarżenie pod adresem tych wszystkich, którzy się z Pokusą przyjaźnili, obcowali i wpływali na jego postępowanie! Oskarżając Pokusę oskarżam także stosunki jakie panowały we wsi Ryczewo. Oskarżam bezduszność ludzi, pod okiem których wyrastał młody przestępca, którzy widzieli to i pozostali bezczynni. Oskarżam tych, którzy ośmielili się pochwalić zbrodnię jakiej dopuścił się Pokusa!

Jakież to fakty upoważniają mnie do precyzowania takich zarzutów?

Oto one:

❖ Pokusa był nieślubnym dzieckiem. Matka, aby utrzymać siebie i jego, przebywała większą część dnia w pracy. Chłopak praktycznie był bez żadnej opieki. O tym, że Pokusa nie chciał się uczyć, że chuliganił i demoralizował młodzież wiedziała cała wieś na czele z jej władzami. Nikt jednakże nie zainteresował się chłopcem, a jedyne wyjście jakie znaleziono, polegało na wyrzuceniu go ze szkoły i pozostawieniu dosłownie „na bruku". Ponurą parodią było popołudnie wręczenie oskarżonemu „listu pochwalnego" (sic!), który przewodniczący GRN podpisał, gdyż — jak oświadczył — „był ich cały pęk i podpisywałem automatycznie"!!!

❖ We wsi nie ma świetlicy, nie ma żadnego miejsca kulturalnej rozrywki. Dzieci wałęsają się i wychowują bez żadnej opieki, zdane same na siebie. Nikt jeszcze nie pomyślał o tym, aby rozbudzić w tej młodzieży jakiekolwiek godziwe zainteresowania.

❖ Dorośli rozpijają młodzież. Sam Pokusa w dniu zbrodni wypił kilka kieliszków wódki jakie otrzymał z rąk gości przebywających w jego domu. Kto zaręczy, że wpływ alkoholu nie osłabił u niego do reszty i tak słabych hamulców moralnych?

❖ Po dokonaniu przestępstwa, kiedy opowiadał o zbrodni braciom Aleksandrowi i Marianowi Tollom, ci oświadczyli, że „dobrze" zrobił i że „pistolet się przyda". Powiedzieli tak mimo tego, że ich brat Kazimierz jest milicjantem!

❖ Marian Toll uczył oskarżonego obchodzenia się z bronią, składał i czyścił pistolet.

❖ Oskarżony często strzelał ze zrabowanego pistoletu.

Fakty te świadczą niezbicie, że stosunki jakie panowały w Ryczewie, stanowiły podatny grunt dla powstawania przestępstw. Stosunki te i zgubny wpływ Tollów nie mogły nie zaważyć na psychice oskarżonego.

Reasumując powyższe i mając na względzie wszystkie momenty przemawiające zarówno przeciwko, jak i na korzyść oskarżonego, pamiętając także o roli wychowawczej kary i o obligatoryjnym nadzwyczajnym złagodzeniu kary, jakie musi być zastosowane w danym przypadku,[2]) uważam, że zarówno momenty prewencji ogólnej jak i szczególnej wymagają, żeby Henryk Marian Pokusa został odizolowany od społeczeństwa na dłuższy okres czasu, który umożliwi dokonanie resocjalizacji sprawcy.

Wnoszę, aby sąd skazał Henryka Mariana Pokusę na łączną karę 8 lat więzienia.

ANDRZEJ OSTOJA

---

1) Upojenie patologiczne, w odróżnieniu od upojenia zwykłego lub fizjologicznego, jest stanem chorobowym, polegającym na krótkotrwałych zaburzeniach psychicznych, które mogą wystąpić już po spożyciu małych dawek alkoholu. Upojenie patologiczne wywołuje głęboki stan zaburzenia świadomości oraz ostry stan zamroczenia, któremu towarzyszy amnezja. Upojenie patologiczne jest zjawiskiem bardzo rzadkim i występuje czasem u ludzi normalnych, lecz mało odpornych na alkohol, a będących w stanie wyczerpania psychicznego i fizycznego, lub po przebytych chorobach infekcyjnych, albo u osobników o słabym układzie nerwowym.

2) Art. 76 par. 1 Kodeksu Karnego stanowi: „Jeżeli przeciw nieletniemu, który po ukończeniu 13 lat, a przed ukończeniem 17 lat, popełnił z rozeznaniem czyn zabroniony pod groźbą kary, wszczęto postępowanie karne po ukończonym 17 roku życia, a umieszczenie go w zakładzie poprawczym nie byłoby już celowe, należy mu wymierzyć karę w ustawie przewidzianą, stosując nadzwyczajne złagodzenie kary.

Z notatnika prokuratora

informacje i zaczepki

Naszym czytelnikom, polecamy ciekawą książkę radzieckiego historyka Iwana Chrenowa pt. „Powstanie łódzkie". Publikację wydała „Książka i Wiedza". Mówi ona, na podstawie nieznanych dotychczas dokumentów, o narastaniu fali strajków i manifestacji jakie poprzedziły powstanie 1905 roku w Łodzi.

●

Żabieniec — nieznana dzielnica naturalna Łodzi stanie się niedługo głośna. Już teraz aż 30 inwestorów buduje na Żabieńcu nowe obiekty, których koszt wynosi ponad 400 milionów złotych. Między innymi na Żabieńcu wzniesiona zostanie trzecia łódzka Elektrociepłownia.

●

Jak doniosła prasa „w MPK radzono nad usprawnieniem komunikacji". Szkoda tylko, że na naradzie „najwięcej mówiono o kulturze i uprzejmości". Pasażerowie marzną w tramwajach, tramwaje chodzą nieregularnie, zwłaszcza wieczorami, a na naradzie w MPK „mówiono o kulturze". Prawdopodobnie chodziło o „wiązanki" rzucane każdego dnia pod adresem MPK.

●

Niedawno mieliśmy w Łodzi dość szeroko reklamowaną imprezę pod nazwą „Fogg and rock". Koncert był dość smutny. Szkoda, że zasłużony mistrz piosenki nie chce pozostać przy swoim genre. Zaskarbiliby sobie życzliwość i miłośników sentymentalnych tang i miłośników rocka.

●

Refren jednej z ostatnich piosenek „Expressowych spotkań" zaczyna się od słów „bijemy się z amorem, bijemy ty i ja" a kończy słowami „czy warto jest się bić". Oczywiście nie warto, bo może wtrącić się MO, ale za to warto pisać teksty do piosenek, bo tutaj niestety MO nie interweniuje. A szkoda. Żeby nie obciążać tym tekstem całej pożytecznej akcji „spotkań" podajemy, że winowajcy nazywają się Z. Kaszkur i Z. Szczęsny i (choć mała to pociecha) nie są łodzianami.

J. W.

Dalszy ciąg ze str. 9

przez niego ona właśnie. I on nie ustrzegł — mówił tak, jakby dobrze wiedział, o co chodzi. — I ten jego nałóg... Najgorzej, jak nie ma gwardiana, a dewotki, cholery psie krwie, przytaskają pod fartuchem wódkę dla ich "ukochanego ojczulka". Staramy się być z nim wtedy razem. Daliśmy go właśnie do waszej szkoły — bo z początku ja miałem pójść — że może wy, panowie profesorowie, rozmowy, wesoła młodzież.

Ojciec Jacek odepchnął się obu rękami od stołu i spojrzawszy tak, jak by nas nie rozróżniał zaintonował:

— A może byśmy się tak napiili?

Szybko podniósł kieliszek do ust.

— Hungaria natum, bernardinis educatum! — wskazałem z emfazą na butelkę czerwieniącą się z kąta etażerki. Niechby już przeszli na wino! Ale nie zwrócono na mnie uwagi, a Nik z kolei relacjonował przebieg procesu księcia Jusupowa i Puryszkiewicza, zabójców Rasputina.

— Może by pan profesor przyszedł w niedzielę na moje kazanie? Zaczynam zawsze od „proszę państwa" bez tego emfatycznego: „Ukochani w Chrystusie". Podobno gra pan w siatkę? Byłem w Wilnie w drużynie międzyszkolnej. Graliśmy, pamiętam, mecz z Dynaburgiem. Łotysze dostali od nas dwa — jeden. Popłakaliśmy się wtedy z radości. O, tu mam zdjęcie.

— Czy ojców jest tylko trzech? — spytałem, nie tyle może przez ciekawość, co żeby zorientować się, czy artykułowanie głosek nie sprawia mi trudności.

— Sześciu. Dwóch ekspediuje teraz jabłka na dworzec, a Leontyn ubija interes ze „Społem". Wie pan — saletrzak. Nie można go normalną drogą dostać... Ojciec gwardian — świetny gospodarz. Jak pan myśli jako człowiek światły, świecki i trochę z boku, czy klasztory mają rację bytu w dziś...

Drgnąłem i spojrzałem z przestrachem w drugą stronę. Ojciec Jacek pochylił się ryzykownie nad stołem, ale zdołał utrzymać równowagę i zaczął śpiewać:

U susida chatka biła,
U susida żynka miła,
A u mene ni chatynki,
Nima szczastia, nima
żynki.

— Antoś, uspokój się, ja cię proszę! — zawołał ojciec Karol do ojca Jacka — A może byś się już położył? On tak zawsze, jak sobie trochę za bardzo... tego...

— Zdrowie pana oficera! — wystrzelił nagle zza swej fortecy „Prezes" i zamrugał oczami, jak by dziwił się swej śmiałości.

— Ty! Żeń się! — Słyszysz? — krzyknął naraz ku mnie przez szerokość stołu ojciec Jacek. — Ja ci to mówię! I to już żeń się!

Nik wstał i sięgnął po kapelusz.

— Dobrze, ojczulku, dobrze. Niech się „ojciec kanapariusz" położy, prześpi. A jutro sobie powolutku, nie spiesząc się trochę do nas: o Adamie, o Ewie, o raju, o drzewie. Uczyć gałganów, u—czyć! Niech znają mores. A nasz kolega jeszcze zdąży wejść pod pantofel. Zdą — ży! No czas na nas. Służba nie drużba. Punkt ósma rano do pracy. Ojcowie przekażą ukłony ojcu gwardianowi!

Oficer też wstał.

Tiepier szatat'sia w gorodie opasno: razbojniki gulajut i partizany, znaczit a toże i pjanicy i wsiakaja driań. Prowożu was domoj — zadecydował. Włożył szynel, zapiął pas, kaburę. Wyprężył się przed ojcami salutując pełną dłonią do daszka — Ostawajtieś z bogom — pożegnał familiarnie.

Pusto, ciemno na ulicach, tylko dzwoniły i taptały głucho jego buty. Oficer sapał, serce ma widocznie nadszarpnięte. Może był ranny? Od strony Julianowa, potem od Marysina, dobiegły echa pojedynczych wystrzałów. Teraz jakby seria? Nijako było podziękować, prosić, żeby nie odprowadzał. Że tak będzie właśnie bezpieczniej, i dla niego bezpieczniej.

— Pan się nie spóźni jutro, panie kolego, prawda? — rzekł na odchodne Nik prawie sucho, kiedy dobiliśmy do Placu Wolności, i zmieniając ton. — A propos, niech pan się jutro strzeże, bo zdaje się, że moja klasa szykuje jakąś siurpryzę urodzinową. Tu dawniej stał pomnik Kościuszki — wskazał miejsce.

— Kostiuszko, chrabryj gieroj — stwierdził oficer. Pożegnał się i ciężkim krokiem, trochę jakby zgarbiony, skręcił w Nowomiejską.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Fragmenty z powieści „Koronka" przygotowywanej do druku w Wyd. Łódzkim.
Rzecz dzieje się w Łodzi, na Bałutach i Dołach w latach 1945—46, częściowo na terenie nowo powstałego, pierwszego w tej dzielnicy gimnazjum i liceum ogólnokształcącego.

TADEUSZ WIĄCEK

MUZYKA USŁUGOWA

Motto:

„Nasza praca dzieli się na dwie części: część usługową i program własny".

(Czesław Lewicki, kier. Działu Muzycznego)

Utarło się u nas zdanie jakoby muzyka nie nadawała się do telewizji. Może to i racja, ale fakt jest faktem — muzyka odgrywa olbrzymią rolę w telewizji. Dlatego poświęcamy jej dziś trochę miejsca. Jest rzeczą niemożliwą zmieścić w jednym artykule wszystko, stąd zawężenie problemu tylko do tzw. muzyki usługowej. Tę z kolei możemy podzielić na uzupełniającą oraz wspierającą dramaturgię przedstawienia.

Muzyka uzupełniająca, jak sama nazwa wskazuje — uzupełnia dźwiękiem pokazywany obraz. Jest to jedna z najczęściej spotykanych form muzycznych w naszej telewizji. Z uzupełnieniem muzyką obrazu zetkniemy się we wszelkiego rodzaju wstawkach filmowych (np. w „Pegazie", „Eurece", „Niedzielnej Biesiadzie", Dzienniku TV itd.), w reportażach filmowych, w niektórych filmach krótkometrażowych produkowanych specjalnie dla TV, przy — niemiłym dla telewidza — „prezentowaniu" plansz i czołówek stałych audycji. Najtrudniej wygląda sprawa przy uzupełnieniach wstawek filmowych. No cóż, nie stać nas jeszcze (i długo stać nie będzie) na to, żeby tego rodzaju filmy produkować z naturalnym udźwiękowieniem. Toteż skazani jesteśmy na podkład muzyczny we wstawkach filmowych. A podkłada się różnie i raczej źle. Zadanie muzyki w tym wypadku jest naprawdę niełatwe — ożywienie obrazu, akcentowanie ważniejszych wypadków dziejących się na ekranie, potęgowanie nastroju itp. I tu spotykamy najpoważniejsze dylematy. Bo jak zilustrować muzyką takie wycinki filmowe, które pokazują walkę bokserską, jesienne podoryw ki, pracę hutników, powitanie delegacji jugosłowiańskiej, rewolucję w Jemenie itp.? Z tym samym problemem boryka się także Polska Kronika Filmowa. Jeżeli jednak innego wyjścia nie ma i podkład muzyczny do wstawek filmowych być musi, to muzyka powinna w tym wypadku jak najbardziej współgrać z obrazem. To oczywisty truizm, ale jakże często zdają się o nim zapominać ludzie tworzący telewizyjne ilustracje muzyczne. Nie mogą tu występować najmniejsze dysonanse między np. tempem obrazu a muzyką. Dlatego, tylko człowiek z doskonałym wyczuciem muzycznym (jak np. w Łódzkim Radiu Marian Jeżewski) może w zadowalającym stopniu rozwiązać ten iście „gordyjski węzeł". Nieco lepiej przedstawia się sprawa ilustracji muzycznej czołówek stałych audycji. Zastrzeżenia budzi tu chyba muzyka do „Tele-Echa" i „Wicherka", na pewno mało adekwatna i jeszcze mniej dowcipna. Bezsprzecznie najbardziej udana jest czołówka Kina Krótkich Filmów, gdzie pod grafikę Lenicy podłożono świetne efekty akustyczne. Poważne, słuszne zarzuty kierują telewidzowie i krytycy pod adresem Działu Muzycznego w sprawie „muzyki-zapchajdziury" (termin L. Terpiłowskiego) tj. tego, co musimy wysłuchiwać w przerwach programu. Sytuacja wygląda tutaj wręcz skandalicznie. Oto każdą lukę w programie wypełnia się wstawką muzyczną. Nikt nie zadaje sobie trudu w powiadomieniu telewidzów, jakiego utworu słuchają, kto jest kompozytorem, kto wykonawcą.

Kiedyś wyszła już propozycja, aby telewizja miała przygotowane, zwarte całościowo odcinki muzyczne odpowiednio różnej długości. Wtedy można by z nich korzystać w zależności od czasu pozostającego do następnej audycji. Propozycja ta już dawno powinna być zrealizowana. Przecież Dział Muzyczny zatrudnia osiemnastu wysoko kwalifikowanych pracowników, posiada doskonale zaopatrzoną taśmotekę i kontakty ze środowiskiem muzycznym nie tylko w kraju, ale i za granicą, a jednak?

Z kolei przejdźmy do drugiego rodzaju muzyki usługowej tj. muzyki (przyjmując ten umowny termin) „wspierającej". W odróżnieniu od muzyki uzupełniającej, wspierająca spełnia rolę twórczą. Zetkniemy się z nią w tego rodzaju widowiskach jak Studio Poetyckie, Teatr TV, Kobra, Teatr Popularny. Twórcza rola muzyki w takich spektaklach polega na pogłębieniu ich struktury dramaturgicznej i podkreśleniu tzw. walorów wyrazowych. Opracowania muzycznego przedstawienia nie można klasyfikować według ustalonych kanonów. Tak jak reżyser ma swoją koncepcję spektaklu, tak człowiek opracowujący ilustrację muzyczną ma również swoją koncepcję. Czasem słuszną, odpowiadającą charakterowi przedstawienia, innym razem udziwnioną nie konweniującą z widowiskiem. Przykładem na ten ostatni wypadek może być spektakl Teatru Popularnego „List", gdzie natarczywe solo na kontrabasie zupełnie nie współgrało z wersetami starego Fredry.

Funkcja muzyki wspierającej polega ponadto na pod budowie emocjonalności obrazu, uwypukleniu wyrazistości akcji, podkreśleniu poszczególnych momentów w trakcie inscenizacji. I o tym wszystkim winien pamiętać „ilustrator" muzyczny w telewizji. Trzeba przyznać, że widowiska realizowane w naszej TV mają na ogół dobrą oprawę muzyczną. Na wyróżnienie zasługuje tutaj nasz ŁOT, którego takie przedstawienia jak „Kongres we Florencji", czy „Maskarada" mogły służyć przykładem na staranną ilustrację muzyczną.

Z tego, co powiedziałem można z pewnością wysnuć wniosek, że ten rodzaj muzyki w naszej TV wymaga zwiększonego zainteresowania Działu Muzycznego. Warto przypomnieć, że Polihymnia to jedna z najpiękniejszych Muz i nie wolno odsuwać jej na plan dalszy.

Undine Medvey w telewizyjnym filmie NRD: Halo, Undine!

Śpiewający STUDENCI

Program muzyczno-wokalny „W rytmie tańca i piosenki" (14. I.) należał do tych, które mogą się podobać. Transmisja z Klubu „Pod Jaszczurami" w Krakowie rozpoczęła się z ponad godzinnym opóźnieniem, ale dobrze się stało, że w ogóle audycję tę pokazano. Przed kamerami wystąpili laureaci I Ogólnopolskiego Studenckiego Konkursu Piosenkarzy, który odbył się w końcu listopada 1962 r. Słowa uznania należą się Jerzemu Kaszyckiemu za przygotowanie programu. Z wykonawców najlepiej zaprezentował się wrocławianin Edward Lubaszenko, który świetnie interpretował piosenkę „Monsieur Bernard" (był on zdobywcą pierwszej nagrody w wyżej wymienionym konkursie ex aequo z Marianem Kawskim). Tego ostatniego również usłyszeliśmy w tym programie, gdzie popisał się wspaniałym basem w piosence „W kawiarnianym dymie". Pozostałymi wykonawcami audycji „W rytmie tańca i piosenki" były koblety. Najbardziej podobała mi się wyróżniona w tym konkursie studentka z Poznania, Bogdana Zagórska w uroczej piosence „Iwan". Oglądaliśmy również w programie dwie łodzianki. Zdobywczyni specjalnej nagrody Telewizji Warszawskiej Janina Boronska, niestety, nie zachwyciła piosenką „Pułkownik". Natomiast wyróżniona w konkursie Maria Tomaszewska lepiej czuła się przed kamerami w najbardziej dynamicznej piosence audycji — „Honoratka". Po usłyszeniu (i obejrzeniu) tych bądź co bądź amatorów, dochodzi się do wniosku, że nasi zawodowi piosenkarze mogliby się od nich niejednego nauczyć: przede wszystkim ciekawej interpretacji. Jeśli chodzi o stronę telewizyjną programu, to nie można realizatorom nic zarzucić. Nie chciałbym nawoływać do amatorszczyzny na małym ekranie, ale audycja „W rytmie tańca i piosenki" była świetnym zastrzykiem ożywczym na zrutynizowane programy muzyczno-wokalne w naszej telewizji.

T. W.

NA MARGINESIE JEDNEJ PERSWAZJI

Powiadają znajomi z ironią: — Ty, Kowalski, jesteś zwykły miglanc. Przypinasz łatki, komu się da, tylko jakoś tak dziwnie kurtuazyjnie omijasz łódzki ośrodek, chociaż jego program jest wyjątkowo ciężko strawny.

Mea culpa. Bardzo wielka, przyznaję. Broniąc racji ŁOT — tych zresztą jak najbardziej słusznych (a znanych nam już do obrzydzenia), zagubiłem gdzieś rację telewidzów. Z kolei, śmieszna rzecz, jak te dwie z pozoru identyczne racje, kolidują ze sobą. Aż nieprawdopodobnym się wydaje, żeby w materialistycznym świecie były możliwe podobne — irracjonalne w przesłankach — paradoksy. Lecz trudno w nie powątpiewać, gdyż doświadczamy ich na własnej skórze.

Dlatego z dalszej dyskusji należy wyłączyć tzw. pewniaki. Wiadomo, że Teatr Popularny, poza nim często jeszcze — Muzyka łatwa i przyjemna, to sukcesy. Zachłystywaliśmy się tym aż do upojenia, lecz dłużej staje się to po prostu nudne, nawet parodystyczne, a prowadzi wprost do kompleksu maniakalnego. Jeżeli zaś dotychczasowym osiągnięciom łódzkiego ośrodka (który, pamiętajmy, istnieje już te swoje siedem latek), przeciwstawi się coraz gorszy, rozkładający się „Klaps", żenujące „Małe premiery", którymi Łódź startuje w programie ogólnopolskim, doda się zawiedzione nadzieje na zrealizowanie lekcji telewizyjnej (wciąż o nich głucha cisza), wreszcie dołączy się rzecz, zwaną programem lokalnym — bądź co bądź, najważniejszym dla łodzian — to efekty bilansu wypadną odległe od optymistycznych, tchnących wiarą w lepszą przyszłość.

Program lokalny jest najgorszą bolączką ŁOT. Przypuszczam, że kierownictwo nie zamierza upierać się przy hipotezie, jakoby emisje lokalne grzeszyły nadzwyczajnym (ba! zwyczajnym) poziomem, lecz przypuszczam również, że obrona polegałaby na usprawiedliwianiach, które są starą śpiewką: budżet, budżet, jeszcze raz budżet. Ostatecznie wiele instytucji kulturalnych posiada maleńkie budżety, a nie ma mimo tego potrzeby wstydzić się odbiorców. Trudno jest kroić garnitur, jeżeli materiału wystarcza tylko na spodnie. Zgoda! Ale braki, a brakoróbstwo, to są dwie różne sprawy. W momencie, kiedy program idzie na antenę ogólnopolską, ŁOT — i chwalebnie — czyni wszystko, aby wypaść jak najlepiej. Te starania, które nie zawsze wieńczy sukces, świadczą na „tak" i równocześnie na „nie". Dobrze bowiem, że ŁOT posiada ambicje, natomiast bardzo źle, że nie wykazuje się nimi przy programie lokalnym. I tu już braki nie usprawiedliwiają brakoróbstwa. Publicystyka lokalna, podstawa lokalnego programu, jest odwalana, zbywana, bez inwencji, bez koncepcji, i potwierdza rozpowszechniające się mniemanie, że ŁOT najzwyczajniej ignoruje sobie własnych odbiorców. Snobizm? — Nie wykluczony, bo okazuje się, że ŁOT umie pokazać dobry program publicystyczny, z zastrzeżeniem: „program na eksport". Wtedy materiału starcza i na kamizelkę (chociaż podobno już niemodna). Dlatego z zaciekawieniem oglądałem „Szkołę perswazji" (18. I.), według scenariusza Z. Chylińskiego. Audycja nie była ideałem, wiele jej można zarzucić: zastosowanie schematycznych wywiadów, powodujących „przegadanie", zwolnienie tempa narracji, brak synchronów dźwięku z obrazem, dublowanie się przy kładowych relacji, naiwną pointę wreszcie, ale w sumie — „Szkoła perswazji" na pewno wyróżniła się pozytywnie spośród ostatnich pozycji publicystycznych programu ogólnopolskiego. Czym jednak, my, łodzianie — uraczani na co dzień perełkami w rodzaju „Faktów i opinii", „Aktualności łódzkich", nie jesteśmy w stanie cieszyć się ani czuć zrozumiałej dumy. Może dlatego, że wiele cyklów zaczynało się pomyślnie? A może ze zwykłej ostrożności, która każe wierzyć, lecz — mimo dobrego początku — radzi jeszcze poczekać.

KOWALSKI

HALINA KIJOWSKA

SWATY *czyli* FAULKNER w telewizji

Nie. Nie mogę wciąż się przekonać do „twórczej" adaptacji literatury dla potrzeb teatru, a zwłaszcza teatru telewizji. Może to herezja, bo przecież odnotowaliśmy kilka wielce udanych przykładów, świadczących o pozornie zgodnym pożyciu obu tych gatunków, ale i tak nie wierzę. Nie wierzę w sztukę pośrednictwa. Najlepsze wyczucie smaku literatury, połączone ze znawstwem specyfiki teatru telewizji, jego wymagań i możliwości — nie może jeszcze gwarantować powstania nowej, doskonałej, naturalnej formy. Adaptacja pozostanie „erzatzem", często może strawnym i nieszkodliwym, ale w końcu „erzatzem". Mimo że margaryna jest zdrowa (i tania), nie oklamujmy się — wolimy masło... dlatego nie można w nieskończoność zasłaniać się brakiem odpowiednich dramatów, czy scenariuszy telewizyjnych, upowszechniając cierpliwą literaturę w ramach „twórczych poszukiwań", a bezradności i nieznajomości tłumaczyć „nowymi rozwiązaniami formalnymi".

„Dym" W. Faulknera, na którym dokonano właśnie zabiegu adaptacji, nie okazał się bynajmniej wyjątkiem w regule. To szlachetnie proste, mięsiste opowiadanie o frapującym wątku kryminalnym, stanowiło dużą pokusę tym bardziej że jego autorem był laureat Nobla. Teatr TV jest wszak teatrem ambitnym. Wszystko byłoby dobrze, gdyby po „Dym" sięgnął np. Teatr Polskiego Radia. Na poniedziałkowej premierze okazało się bowiem, że opowiadanie pozostało... opowiadaniem. Mimo najszczerszych chęci reżysera i wykonawców. Odnosi się to zwłaszcza do pierwszej części widowiska (?), Kiedy z relacji poszczególnych obywateli miasta Jefferson dowiadywaliśmy się coraz to nowszych szczegółów ponurej historii. Dramat rozegrał się poza teatrem, cóż tedy miało się dziać na ekranie? unieruchomiona kamera mogła jedynie leniwymi spojrzeniami ukazywać opowiadające postacie z efektownie wkomponowanym w kadr kapeluszem, fajką i uśmiechem słuchającego prokuratora...

Gwoli sprawiedliwości należy jednak podkreślić rzeczywiście udaną prezentację aktorstwa. Gdyby nie Jan Świderski, Czesław Roszkowski (kapitalny jako kaznodzieja) czy Jan Kobuszewski, gdyby nie staranna gra reszty zespołu, gdyby wreszcie nie umiar i kultura reżysera — można by nazwać „Dym" jeszcze jednym niepowodzeniem Teatru TV. A tak stał się on nieco uroczystszą „KOBRĄ". Oh, quel domage...

14 stycznia 1963 r. Teatr TV — Warszawa: „Dym" — W. Faulknera, Przekł. — Z. Kierszys, Adapt. — I. Strzemińska. W roli głównej — J. Swiderski, w pozostałych rolach: H. Borowski, J. Byliczyński, T. Fijewski, S. Jaworski, J. Kobuszewski, J. Nowak, J. Paluszkiewicz, Cz. Roszkowski, S. Wronecki i S. Zaczyk.

Nieobecni też przeszkadzają

W ubiegłym tygodniu zajmowały się „Odgłosy tygodnia" sprawą sprawności naszych szkół. Pisaliśmy, że Łódź osiąga nieco gorsze wyniki nauczania niż wynosi przeciętna w naszym kraju.

Dziś chcielibyśmy zwrócić uwagę na jedną z przyczyn tego stanu rzeczy. Winnymi nie najlepszych wyników nauczania są także... nieobecni.

W łódzkich szkołach wszystkich typów uczy w sumie — 8.237 nauczycieli. Wśród nich 25 procent, dokładnie 2.088 osób stanowią tzw. dochodzący, którzy wpadają do szkoły na swoje 1—2 godziny i już ich nie ma, co znaczy, że nie wypełniają należycie funkcji wychowawczych. 7 procent stanowią emeryci i nauczyciele niewykwalifikowani, oni także nie zawsze są dobrymi wychowawcami.

Jeszcze bardziej ujemnie wpływa na wyniki osiągane przez nasze szkoły fakt bardzo dużej absencji pośród nauczycieli. Proszę sobie wyobrazić, że ub. roku szkolnego na jednego nauczyciela wypadało przeciętnie 22,7 opuszczonych dni nauki, w liceach ogólnokształcących — 11,7 dni nauki. Wiadomo, bez nauczyciela nie sposób nauczać i wychowywać, prawda?

Dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że około 70 proc. naszych nauczycieli stanowią kobiety, które muszą godzić obowiązki szkolne z macierzyńskimi. Dodajmy jeszcze, że mamy przeważnie w szkołach młode nauczycielki. Zapewne, na absencję nauczycieli wpływa pewien liberalizm, może odrobinę przesadny, stosowany w naszych szkołach.

Młodzież także opuszcza lekcje. Niestety, wagary stale są w modzie. Podajemy przykładowo, że na 12.720 uczniów szkół licealnych tylko 993 nie opuściło w ubiegłym roku szkolnym ani jednej godziny lekcyjnej. Rzecz prosta, nie wszyscy wagarowali, ale przecież okoliczności dla wagarowania są u nas, i owszem, dosyć sprzyjające. Atrakcyjne filmy, wyświetlane w kinach przed południem, przy czym dyrekcje dbają o frekwencję. Plan, proszę państwa, plan finansowy! I wreszcie obojętność dorosłych na widok grupek wałęsających się po mieście, brak, naprawdę brak jakiejkolwiek sprawnej kontroli ze strony szkoły i rodziców. Skutki odpowiadają więc przyczynom, na co zwracamy uwagę z prawdziwym smutkiem.

ODGŁOSY tygodnia

CIERPIENIA REPORTERA

W bieżącym numerze „Odgłosów" mieliśmy poinformować czytelników o postępach w budowie łódzkiego Teatru Narodowego. Chcieliśmy tym materiałem usprawiedliwić Wysokie Czynniki, od których zależny jest fakt, że niedługo będziemy obchodzić XV rocznicę inauguracji tej budowy, o której głośno w całym kraju. Niestety, materiał nie ukaże się. Smutny ten fakt spowodowany jest... uprzejmością.

Niesłychanie uprzejmy dyrektor inwestycji Teatru Narodowego mógł udzielić reporterowi wyczerpujących informacji. Nie zrobił jednak tego ponieważ nie chciał uchybić swojemu zwierzchnikowi — Wydziałowi Kultury Prezydium MRN. Reporter uszanował tę delikatność uczuć i udał się do Wydziału. Poszukiwania za człowiekiem kompetentnym w sprawach budowy Teatru trwały długo, ale zakończyły się pełnym sukcesem. Cóż jednak z tego, kiedy w Referacie Inwestycji Wydziału Kultury niesłychanie uprzejmie zawiadomiono reportera, że informacje nie będą mu udzielone. Też ze względu na uprzejmość i delikatność uczuć. Bo przecież Referat Inwestycji nie może udzielać informacji tonem zwierzchnika... Po czym znów nastąpiło odesłanie reportera do poprzedniego dyrektora lub jeszcze do innego — a obaj oni są do siebie podobni tym, że nie można ich uchwycić.

I tu się koło zamyka. Czytelnik jest tu mniej ważny — czekał lat kilkanaście, poczeka jeszcze kilka tygodni. Ale reporter... Reporter cierpi. Bo:

— Męczy go uczucie niewypełnionego obowiązku, które zdarza się nie tylko w bajkach.

— W gruzy rozpadła się jego życiowa zasada, że uprzejmość ułatwia życie.

Czysta robota

Nie, Szanowny Autorze (czy Autorko) noty pod powyższym tytułem zamieszczonej w 2 numerze „Odgłosów Tygodnia". To nie jest „czysta" robota. Zresztą może się pan o tym przekonać osobiście. Chyba, że należy Pan do tych ludzi, których trzeba w tego rodzaju pracach wyręczać. Oburzył Pana fakt, że Spółdzielnia Pracy „Czystość" podniosła cenę za usługi z 6.15 zł do 7.20 za godzinę sprzątania, porządkowania itp. czynności w Pańskim mieszkaniu. Dla informacji podaję, że w Warszawie od 1959 r. cena za podobne prace wynosi 8 zł, w Gdańsku 8,60 zł, w Chorzowie 8.60 zł. W Łodzi zaś 7.20. Spółdzielnia zrzesza 120 kobiet przeważnie znajdujących się w trudnych warunkach materialnych. Miesięczny zarobek sprzątaczki przy ośmiogodzinnym dniu pracy wynosi średnio od 800 do 900 zł. Czy należy załamywać ręce i podnosić głośne larum, że podniesiono o parę groszy stawkę dla ludzi, zatrudnionych przy „czarnej robocie?" I czy do dobrego tonu należą takie zwroty, jak dwie są instytucje, które dbają o czystość i czystą, mianowicie Polski Monopol Spirytusowy i Spółdzielnia „Czystość"? Pytanie retoryczne, prawda?

Remontowe tango

Remonty przeprowadzane przez osławione Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane dawno znalazły się już — obok opieszałego kelnera i biurokraty — na liście żelaznych tematów satyry.

„Remontowe tango, remontowy witz, remontowa blaga, remontowy pic" — śpiewano nawet kiedyś na estradzie. Z piosenką jak wiadomo jest nam wesoło, ale nie każdy dotknięty tragedią remontu zna repertuar i posiada odpowiednie aktorskie przygotowanie. Toteż kiedy czcigodne MPR-B remontując dom przy ul. Wschodniej 19 zorientowało się, że w mieszkaniu nr 6 mieszka aktor postanowiło się nie spieszyć. Aktor, jak wiadomo, pośpiewa sobie i będzie mu lżej.

No i remont trwa. Od kwietnia. Kuchnia nie wykończona, piec nieobecny, za to obecnie zmurszała belka w suficie... Wszystko tak jak tego chce najlepsza remontowa tradycja.

Więc p. Jaworski śpiewa sobie po cichutku (żeby belka nie spadła): „Remontowe tango, tango remontowe czy pomoże tobie, o nie!".

„Obcy"

Nie najlepiej wygląda w Łodzi sprawa czytelnictwa. Sieć bibliotek jest rzadsza niż wymagają tego oficjalne wskaźniki (jedna biblioteka na 10 tys. mieszkańców). Ciężyć więc może inicjatywa tworzenia w fabrykach punktów bibliotecznych przez Międzyzakładowe Kluby Kultury. Ale cóż się okazuje? Niektóre partycypujące w pracy tych klubów dyrekcje nie chcą wpuszczać bibliotekarzy na teren zakładów. Powód? Bibliotekarz nie jest pracownikiem zakładu tylko „obcym". Ktoś tu jest na bakier z logiką.

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

ANNA MILEWSKA — studia aktorskie ukończyła w Krakowie z wyróżnieniem w roku 1959 i w związku z tym wysłana została do Francji na Festiwal Villarowski w Avignon. Najpierw grała w teatrach w Kielcach i Radomiu. Role, w których się wówczas wyróżniła to, Panna Młoda w „Kapeluszu słomkowym", Katarzyna — w „Widoku z mostu", Stella — „Przy drzwiach zamkniętych" Sartre'a, Popowa — w „Niedźwiedziu" Czechowa. Od 1961 roku gra w Teatrze Powszechnym w Łodzi. Nasza publiczność zna ją jako odtwórczynię m. in. postaci Wiery — w „Miesiącu na wsi" Turgieniewa, Irenę — w „Kwiatach łódzkich", Amytis — w „Drodze do Rzymu" oraz ze spektaklu telewizyjnego „Rozbitki".

Tekst i zdjęcia GERARD PUCIATO

Korespondencja

JA i MOJA DZIELNICA

Z prawdziwą satysfakcją czytałem interesujący artykuł Krzysztofa Pogorzelca, zatytułowany „Ty i twoje miasto" („Odgłosy", nr 2/254 z dnia 13. I. 1963 r.) informujący o tym, jakie perspektywy rozwojowe na terenie naszego miasta w różnych dziedzinach życia rysują się przed nami w roku 1963.

Jako dwuletniego już mieszkańca Żubardzia cieszy mnie prężny rozwój tej dzielnicy mieszkaniowej. Patrząc jednak na powstające jak przysłowiowe grzyby po deszczu bloki mieszkalne, odczuwam zarazem niepokój, którego powodem jest sprowadzenie problemów dzielnicy do potrzeb mieszkaniowych. Sprawa obecnie wygląda tak, że buduje się mnóstwo bloków mieszkalnych, wprowadzają się do nich coraz to nowe rzesze lokatorów zadowolonych z otrzymanego nareszcie mieszkania, na które czekali oni niejednokrotnie szereg długich lat. Pierwsza radość zostaje jednak szybko przytłumiona rozczarowaniem, gdy nowy mieszkaniec po urządzeniu się zapragnie zaspokoić inne swoje potrzeby życiowe i zacznie rozglądać się za odpowiednimi placówkami handlowymi, czy usługowymi. Przykładowo, w rejonie ulic Mokrej, Szamotulskiej i Świeżej, mamy zaledwie cztery sklepy w zakresie branży spożywczej, mięsnej, galanterii włókienniczej i chemiczno-papierniczej, po jednym z każdej branży, wszystkie przy ul. Mokrej 21. Na tak duży rejon jest to stanowczo za mało, zwłaszcza w zakresie artykułów spożywczych, bowiem w sklepach tej branży — jak uczy doświadczenie — panuje zazwyczaj największy ruch, a aktualnie istniejący sklep (formalnie tylko samoobsługowy, a w rzeczywistości o charakterze tradycyjnym) jest sklepem małym, w którym już obecnie ustawiają się kupujący niejednokrotnie w bardzo długich kolejkach.

Nie dysponuję odpowiednim materiałem cyfrowym, jednak sądzę, że łatwo będzie przez porównanie odpowiednich danych statystycznych policzyć, ilu mieszkańców tego rejonu przypada na każdy z tych sklepów, a zwłaszcza na sklep spożywczy i porównać to z podobnymi danymi np. w Śródmieściu. Porównanie to, jak się spodziewam, będzie zaskakujące.

Powstaje nadto pytanie, gdzie będą mieszkańcy tego rejonu kupować konfekcję, buty, artykuły gospodarstwa domowego, gdzie będą oddawać bieliznę i odzież do prania, buty do naprawy, korzystać z usług fryzjerskich itp. Ano chyba tam, gdzie czynili to dotychczas: w przeładowanym Śródmieściu, tylko że z większą stratą czasu i uciążliwym taszczeniem wszystkiego z Żubardzia do Śródmieścia i z powrotem.

Nie wydaje się, aby stworzenie takiej sytuacji leżało w zamiarach naszych władz miejskich, z drugiej jednak strony trudno uwierzyć, aby ten stan rzeczy był wynikiem braku koordynacji, rozsądnego planowania, czy przypadkowego niedopatrzenia. W każdym razie coś tu nie jest w porządku, a problem na pozór drobny nabrzmiewa w miarę przybywania nowych bloków mieszkalnych.

Należy sądzić, że poruszana sprawa doczeka się odpowiedniego wyjaśnienia ze strony naszych władz terenowych, które przecież czynią duże wysiłki w kierunku ułatwienia życia pracującym mieszkańcom naszego miasta.

STANISŁAW LINEK

DOBRE RADY

Mówi się nieraz, że najłatwiej udzielać dobrych rad. Ale to nieprawda. Wiedzą coś o tym ludzie, dla których udzielanie dobrych rad stało się zawodem. Mowa oczywiście o psychologach i lekarzach łódzkiej Przychodni Psychologicznej.

Setki absolwentów szkół podstawowych i średnich uzyskuje tu na podstawie przeprowadzonych testów opinie o przydatności do określonego zawodu. Okazuje się na przykład, że młodzieniec wybierający się na medycynę posiada wybitne predyspozycje do nauk technicznych. Poradnia, oczywiście, stawia tylko diagnozę — wybór należy już do zainteresowanego. Jak twierdzą jednak pracownicy Poradni delikwenci raczej jednak zawierzają opiniom psychologów.

Warto jeszcze wspomnieć że Poradnia działa również na terenie województwa i ma punkty konsultacyjne w Skierniewicach, Kutnie, Zgierzu, Piotrkowie, Tomaszowie, Łowiczu... Sama „centrala" natomiast zmieniła ostatnio swój adres i mieści się obecnie w Łódzkim Domu Kultury, przy ul. Moniuszki 4 a, na III piętrze (drugie wejście).

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Zwirki 17
Zam. 157 I. 63 K-4